

Probo...

H. G. WELLS

Podróż w czasie.

OPOWIEŚĆ FANTASYCZNA

Z ANGIELSKIEGO PRZEŁOŻYŁ

Feliks Werwiński



1242...

WARSZAWA

BRONISŁAW MATANSON

SKŁAD GŁÓWNY: KSIĘGARNIA J. PIŚCZERA

Nowy Świat N. 9.

1900

H. G. WELLS

Podróż w czasie

OPOWIEŚĆ FANTASTYCZNA

Z ANGIELSKIEGO PRZEŁOŻYŁ

Feliks Wermiński



WARSZAWA

BRONISŁAW NATANSON

1899

Дозволено Цензурою
Варшава 22 Сентября 1898 года.



176934

I.

WSTĘP.

Podróżnik po krainie Czasu (tak bowiem wypada go nazwać) wykładał nam przedmiot tajemniczy. Jego oczy szare świeciły i błyszczały, a na twarz, bladą zazwyczaj, wystąpił żywy rumieniec. Ogień na kominku jasno płonął, a miękkie promieniowanie świateł w srebrnych świecznikach uroczym muskało bulki, które powstawały i znikały w naszych szklankach. Krzesła nasze, jego wynalazku, — zamało powiedzieć, że nam wygodne dawały siedzenie: one nas obejmowały i pieściły. Owiewała nas ta poobiednia atmosfera zbytku, gdy myśli biegną z pewnym wdziękiem wolne od więzów ścisłości. I tak też biegnęły jego myśli w ciągu wykładu, w którym punkta tezy swej oznaczał ciekawym swoim wskazującym palcem, podczas gdyśmy siedzieli i nie dbale podziwiali jego gorące przejęcie się tym,

według naszego zdania, nowym paradoksem, a więcej jeszcze — niezwykłą bujność jego myśli.

— Zważcie dobrze — mówił. — Staję w sprzeczności z jedną lub dwiema ideami jaknajpowszechniej uznawanymi. Geometria, np., której uczyliście się w szkołach, jest oparta na błędnym założeniu.

— Czy nie jest to kwestya zbyt wielka, abyśmy się nią tutaj zajmować mogli? — zapytał rudowłosy Filby, człowiek wygadany co się zowie.

— Nie myślę od was żądać, abyście przyjmowali cośkolwiek bez przekonania. Wkrótce zgodzicie się przynajmniej o tyle, o ile jest to dla mnie samego potrzebnem. Wiecie z pewnością, że linia matematyczna, linia grubości *zero*, niema bytu realnego. Uczyliście się przecież tego? Również nie ma bytu płaszczyzna matematyczna. Te rzeczy — to tylko czyste abstrakcje.

— Wszystko to prawda — rzekł Psycholog.

— Niema również bytu realnego sześcian, posiadający tylko długość, szerokość i grubość, czyli wysokość.

— Na to się już nie zgadzam — powiedział Filby.

— Bryła z pewnością może istnieć. Wszystkie ciała rzeczywiste...

— Tak mniemają powszechnie. Ale poczekaj chwilkę. Czy może istnieć sześcian momentalny?

— Nie rozumiem — rzekł Filby.

— Czy może mieć byt realny sześcian, któryby nie trwał ani jednej chwili?

Filby zamyślił się.

Oczywiście — ciągnął dalej Podróżnik w Czasie — każde ciało realne musi mieć rozciągłość w czterech kierunkach: musi posiadać długość, szerokość, grubość i trwałość; lecz przyrodzona nieudolność naszego ciała, którą wam natychmiast wyjaśnię, skłania nas do przeoczenia tego faktu. W istocie są cztery wymiary: trzy, które nazywamy trzema płaszczyznami przestrzeni, i czwarty — czas. Istnieje wszakże dążność do wytykania bezzasadnej granicy pomiędzy trzema poprzednimi wymiarami a ostatnim, ponieważ tak się dzieje, że nasza świadomość biegnie bez przerwy w jednym kierunku, wzdłuż tego właśnie ostatniego wymiaru, od początku do końca naszego życia.

— Jest to — odezwał się Człowiek Bardzo Młody, czyniąc spazmatyczne wysiłki dla zapalenia cygara nad lampą — jest to w samej rzeczy najzupełniej jasne.

— Otóż na szczególną uwagę zasługuje to, że tak powszechnie fakt ten lekceważą — ciągnął dalej Podróżnik w Czasie, z odcieniem lekkiej wesołości. — Rzeczywiście to, o czym ja mówię, jest tem samem, co zwykle rozumieją jako czwarty wymiar, choć z wielu ludzi, prawiących o tym czwartym wymiarze, żaden nie wie nawet,

że nic innego właśnie nie ma na myśli, tylko pojęcie, przeze mnie tu wyrażone. Jest to tylko inny punkt patrzenia na czas. *Niema innej zgoła różnicy pomiędzy czasem a którymkolwiek z trzech wymiarów przestrzeni, oprócz tej, że nasza świadomość porusza się wzdłuż tego właśnie czwartego wymiaru.* Lecz niektórzy głupcy uwikłali się w fałszywy pogląd na to pojęcie. Słyszeliście wszyscy, co oni powiadają o czwartym wymiarze...

— Ja nie — rzekł major z prowincyi.

— Rzecz się ma tak. Przestrzeń, podług zdania naszych matematyków, ma mieć trzy wymiary, które można nazwać: długością, szerokością i grubością, i daje się zawsze określić stosunkiem do trzech płaszczyzn, z których każda leży pod kątem prostym do pozostałych. Lecz niektórzy ludzie filozofujący zapytali: dlaczego tylko *trzy* wymiary, dlaczego nie inny jeszcze jaki kierunek pod kątem prostym do trzech pozostałych? — i starali się nawet zbudować geometryę czterowymiarową. Będzie może miesiąc temu! profesor Szymon Newcomb miał w tym przedmiocie wykład w Nowojorckiem Towarzystwie matematycznym. Wiecie jak na płaskiej powierzchni, która ma tylko dwa wymiary, możemy przedstawić rysunek bryły trój-wymiarowej. Otóż analogicznie sądzą niektórzy, że za pomocą modeli trój-wymiarowych będą mogli

przedstawić ciała cztero-wymiarowe — jeżeli tylko owładną perspektywą przedmiotu. Czy nie tak?

— Tak sędzę — mruknał Major z prowincyi i, marszcząc brwi, wpadł w stan zadumy wewnętrznej i poruszał ustami, jak człowiek, który wymawia mistyczne jakieś wyrazy. — Tak, zdaje mi się, że teraz już rozumiem, — powiedział po niejakiem czasie, z twarzą na chwilę wypogodzona.

— Dobrze... Nie przypominam sobie, czy wam mówiłem, że czas jakiś zajmowałem się tą geometryą cztero-wymiarową. Niektóre z moich rezultatów są ciekawe. Np. oto portret jednego i tego samego człowieka, jeden w ósmym roku życia, drugi w piętnastym, inny w siedmnastym, w trzydziestym trzecim, i tak dalej. Wszystko to są przekroje, jakby trój-wymiarowe wyobrażenia, istoty cztero-wymiarowej, która jest przedmiotem stałym i niezmiennym. Uczni — mówił dalej Podróżnik, z pewnym namysłem dla lepszego uchwycenia przedmiotu — wiedzą dobrze, że czas jest tylko rodzajem przestrzeni. Oto jest znany powszechnie diagram naukowy — sprawozdanie ze stanu pogody. Linia, którą pokazuję palcem, ma wskazywać ruch barometru. Wczoraj rtęć stała tak wysoko, w ciągu nocy opadła, dziś z rana podniosła się znowu, i tak dalej podnosi się stale aż do chwili obecnej. Z pewnością rtęć nie kreśli tej linii w jednym z wymiarów przestrzeni znanych dotychczas, lecz niewątpliwie

linię samą nakreśliła, a ta linia, jak musimy wnioskować, poszła w kierunku wymiaru czasu.

— Ale — odezwał się Lekarz, patrząc uporczywie na płonące węgle — jeżeli czas jest rzeczywiście czwartym wymiarem przestrzeni, to dlaczego obecnie jest, a dawniej był, uważany za coś zupełnie odrębnego? I dlaczego nie możemy się poruszać wzdłuż czasu tak, jak się poruszamy wzdłuż każdego innego wymiaru przestrzeni?

Podróżnik uśmiechnął się.

— Czy tylko jesteś pan pewny, że możemy swobodnie poruszać się w przestrzeni? Możemy poruszać się na prawo i na lewo, w tył i na przód, ile chcemy, i tak ludzie poruszali się zawsze. Przypuszczam, że mamy swobodę ruchów w dwóch wymiarach. Ale co powiedzieć o ruchu w górę i na dół? Tu krępuje nas ciężenie.

— Nie zupełnie — rzekł lekarz. — Mamy przecież balony.

— Ale przed wynalezieniem balonów, jeżeli pominiemy spazmatyczne podskoki oraz nierówności gruntu, człowiek nie miał wcale swobody ruchów w kierunku pionowym.

— Zawsze jednak mógł poruszać się cokolwiek w górę i na dół — rzekł Lekarz.

— Łatwiej, daleko łatwiej na dół niż w górę.

— Ale pan nie zdołasz poruszyć się w czasie, wyjść z chwili obecnej.

— Kochany panie, w tem właśnie się mylisz. Cały świat ma mylne wyobrażenie pod tym względem. Ustawicznie uciekamy od chwili bieżącej. Nasz byt umysłowy, który jest niematerialny i nie ma wymiarów, porusza się w kierunku czasu z jednostajną szybkością, od kolebki do grobu, zupełnie tak, jak-byśmy musieli zejść *na dół*, gdybyśmy rozpoczęli istnienie nasze na wysokości pięćdziesięciu mil nad ziemią.

— Największa jednak trudność w tem — przerwał Psycholog,— że możesz się pan poruszać w każdym kierunku przestrzeni, lecz nie możesz się poruszyć w czasie.

— W tem tkwi jądro mojego wielkiego odkrycia. Lecz nie masz pan racyi, mówiąc, że nie możemy poruszać się w czasie. Jeżeli np. żywo przypominam sobie jakiś wypadek, to wracam w myśli do chwili, w której się wydarzył: staje się, jak mówią, *absent-minded* (w nieobecności nastrojonym na obecność); na chwilę odskakuję w tył. Zapewne, nie możemy zatrzymać się w czasie na przeciąg dłuższy, podobnie jak człowiek dziki lub zwierzę nie może się utrzymać na wysokości sześciu stóp nad ziemią; lecz człowiek cywilizowany stoi pod tym względem wyżej od dzikiego. Wbrew sile ciężenia może wznieść się w górę balonem: to i dłaczegóż nie miałby mieć nadziei, że wreszcie zdoła zatrzymywać lub przyspieszać swój bieg wzdłuż wymiaru czasu, lub nawet zawracać i puszczać się w inną drogę?

— O, co to... — zaczął Filby — to już jest...

— Dlaczegooby nie? — przerwał mu Podróżnik w Czasie.

— Sprzeciwia się to rozumowi — rzekł Filby...

— Jakiemu rozumowi? — zagadnął Podróżnik.

— Argumentami możesz pan dowieść nawet, że czarne jest białem — rzekł Filby — lecz nie zdołasz mnie pan nigdy przekonać.

— Być może — rzekł Podróżnik — lecz zaczynacie już teraz spostrzegać przedmiot moich dociekań w geometryi cztero-wymiarowej? Od dawna już switał mi pomysł maszyny...

— Do poruszania się w czasie?! — wykrzyknął młodzieniec.

— Tak, do odbywania podróży w każdym kierunku czasu i przestrzeni, w jakim tylko będący poruszyć się zechce...

Filby ledwo się wstrzymał od śmiechu.

— Ale ja mam sprawdzian doświadczalny! — rzekł Podróżnik.

— O, jakżeby się taka machina przydała historykowi! — zauważył Psycholog. — Nie jeden mógłby cofnąć się daleko w przeszłość i sprawdzić powszechnie przyjętą opowieść o bitwie pod Hastings!

— Sądzisz, że zwróciłby kto na ciebie uwagę? — rzekł Lekarz — przodkowie nasi nie bardzo się rwali do anachronizmów.

— Niejeden mógłby tę grekę, której drugich naucza, wziąć z własnych ust Homera lub Platona — zauważył młodzieniec.

— W tym wypadku byłbyś uważanym za drepcącego małym kroczeniem pedanta. Erudyci niemieccy tak już przecież wydoskonalili znajomość greczyzny.

— W każdym razie na tej drodze jest przyszłość — powiedział Młodzieniec.—Dobra myśl! Można by zebrać swoje kapitały, złożyć na procent składany i puścić się na złamanie karku!

— Aby znaleźć społeczeństwo — zauważyłem — zbudowane na podstawie ściśle komunistycznej.

— Co za szalone dziwactwa! — zaczął Psycholog.

— Tak, i mnie się to samo zdawało; to też postanowiłem nikomu nic nie mówić, dopóki-bym...

— Nie sprawdził doświadczeniem... — podchwyciłem.

— Więc istotnie myślisz o eksperymencie?

— Eksperyment! — krzyknął Filby, który już czuł, że mózg mu schnąć zaczyna.

— Pokaż w jakikolwiekby sposób swoje doświadczenie — powiedział Psycholog — chociaż, wicie, wszystko to humbug.

Podróżnik po krainie Czasu w koło się do nas uśmiechnął. Następnie, nie przestając zlekka się uśmiechać, zagłębił ręce w kieszenie spodni i wyszedł zwolna z pokoju. Słyszeliśmy

tylko jego pantofle, jak klapały w długim korytarzu, który prowadził do laboratoryum.

Psycholog spojrział na obecnych. — Ciekaw jestem: co też zmajstrował?

— Jakaś sztuczka prestidigitatorska lub coś podobnego — rzekł Lekarz, Filby zaś zaczął opowiadać o magiku, którego widział w Burslem, lecz, nim zakończył wstęp do opowieści, Podróżnik po krainie Czasu wrócił i anegdota Filby'ego przepadła.



II.

Machina.

Podróżnik po krainie Czasu trzymał w ręku jakiś przedmiot połyskujący. Był to mechanizm metalowy, niewiele większy od małego zegarka, a wykonany bardzo delikatnie, z kości słoniowej i jakiegoś przezroczystego ciała kryształicznego. Teraz muszę się bardzo jasno tłumaczyć, gdyż to, co następuje — jeżeli wogóle uznamy objaśnienie przyrządu za możliwe — jest czemś, co opowiedzieć się nie da.

Podróżnik w Czasie wziął jeden z ośmiokątnych stolików, jakich kilka było w pokoju, i umieścił go przed ogniskiem, obiema zaś nogami stanął na dywanie przed kominkiem. Na stoliku postawił mechanizm, przysunął krzesło i usiadł.

Na stole, oprócz przyrządu, była tylko niewielka lampa z przyciemką; jasne jej światło oświecało model. Było jeszcze nadto może ze dwanaście świec, z których dwie w brązowych

lichtarzach na kominku, a inne w srebrnych kandelabrach, tak, iż pokój był oświetlony rześcicie.

Siedziałem w niskim fotelu, jaknajbliżej ognia, i wysunąłem się naprzód, aby znaleźć się pomiędzy ogniskiem a Podróżnikiem w Czasie. Po za nim siedział Filby, patrząc mu przez ramię. Lekarz i Major z prowincyi widzieli go z profilu ze strony prawej, Psycholog z lewej. Młodzieniec stał za Psychologiem. Byliśmy wszyscy na straży. Wydawało się niepodobnem do uwierzenia, aby można było odegrać przed nami jakąkolwiek sztuczkę, choćby najsubtelniej obmyślaną i wykonaną najzręczniejsz.

Podróżnik w Czasie spoglądał kolejno na nas i na mechanizm.

— No, cóż? — spytał Psycholog.

— Ten mały przyrząd — odrzekł Podróżnik w Czasie, opierając łokcie na stoliku i ściskając aparat w rękach, jest tylko modelem, pomysłem maszyny do podróżowania w czasie. Widzicie, że wygląda dość dziwnie. Ten drążek ma dziwnie migoczącą powierzchnię, jak coś, coby nie miało bytu realnego — wskazał przytem palcem na daną część przyrządu. — Tu znowu jest jedna niewielka dźwignia biała, tam druga.

Lekarz podniósł się z krzesła i spojrział na przedmiot.

— Jak to ślicznie wykonane! — zawołał.

— Ten przyrząd zabrał mi dwa lata pracy — odparł Podróżnik w Czasie, a gdyśmy

wszyscy poszli za przykładem Lekarza, mówił dalej:—Teraz chciałbym, abyście pojęli jasno, że gdy naciśniemy tę dźwignię, machina zostanie wprawioną w ruch postępujący w przyszłość. Ta druga dźwignia nadaje ruch w kierunku odwrotnym. To siodełko przedstawia siedzenie Podróżnika w Czasie. Obecnie nacisnę sprężynę, i maszyna pójdzie naprzód; zniknie, przejdzie do przyszłości i stanie się niewidzialną. Patrzcie bacznie na przyrząd. Patrzcie również na stolik, i bądźcie pewni, że tu niema żadnych sztuczek. Nie potrzebuję rozmyślnie pozbywać się tego modelu: uchodziłbym potem za szarlatana.

Nastąpiła jednominutowa przerwa. Zdawało się, że Psycholog chciał coś mówić do mnie, lecz zmienił zamiar. Podróżnik w Czasie wyciągnął palec ku dźwigni.

— Nie — rzekł. — Daj rękę — i, zwracając się do Psychologa, wziął jego rękę w swoją i kazał mu wygiąć wskazujący palec tak, iżby Psycholog sam puścił model maszyny czasu w nieskończoną podróż. Ujrzeliśmy wszyscy obrót dźwigni. Jestem najzupełniej pewny, że nie było w tem oszustwa. Uczuliśmy powiew wiatru, a płomień lampy wybuchnął w górę. Zgasła jedna świeca na kominku, a mała machina zaczęła nagle wirować, stała się niewyraźną, w ciągu sekundy było ją widać tylko jak widmo, jako wir połyskującego zlečka bronzu i ko-

ści słoniowej, aż wreszcie przepadła — znikła! Na stole nie było nic prócz lampy.

Na chwilę wszyscy oniemieli. Pierwszy Filby uznał się pobitym.

Psycholog ocknął się z podziwu i nagle spojrzął pod stół. Wówczas Podróżnik w Czasie wesoło się roześmiał. — No, cóż? — zapytał, powtarzając słowa Psychologa. Następnie, podniósłszy się, poszedł do pudełka z tytuniem na kominku i, odwrócony tyłem, zaczął nakładać fajkę.

Patrzyliśmy w osłupieniu, jedni na drugich.

— Spójrz! — rzekł Lekarz — czy mówisz seryo? czy istotnie sądzisz, że maszynka rozpoczęła już podróż w Czasie?

— Z pewnością — odpowiedział Podróżnik, nachylając się dla zapalenia dREWienka przy ogniu. Następnie obrócił się, zapalając fajkę, i spojrzął w twarz Psychologowi. (Psycholog dla okazania, że się nie czuje wcale wytraconym z równowagi, szukał ratunku w cygarze i miał już je zapalić, zapomniał tylko obciąć).

— Co więcej, mam dużą maszynę na ukończeniu, tam — tu wskazał w stronę laboratorium. — Gdy ją złożę w całość, sądzę, że będę mógł odbyć podróż już sam we własnej osobie.

— Sądzisz pan, że machina powędrowała w przyszłość? — spytał Filby.

— W przyszłość lub przeszłość — nie wiem z pewnością w którym kierunku.

Po chwili Psycholog wpadł na nowy pomysł. — Musiała powędrować w przeszłość, jeżeli wogóle dokądkolwiek poszła — rzekł.

— Dlaczego?—zagadnął Podróżnik w Czasie.

— Ponieważ przypuszczam, że nie poruszyła się w przestrzeni, a gdyby powędrowała w przyszłość, to byłaby tutaj ciągle przez cały czas, gdyż musiałaby przejść ten czas.

— Lecz—rzekłem—gdyby pomknęła w przeszłość, musiałaby być widoczną wtedy, gdyśmy po raz pierwszy weszli do tego pokoju, i w ostatni czwartek, gdyśmy tu byli, i w przedpokoju, i tak dalej!

— Poważne zarzuty — zauważył Major z prowincyi, z miną bezinteresowną, zwracając się do Podróżnika w Czasie.

— Ani na źdźbło — odparł Podróżnik, a następnie zwróciwszy się do Psychologa, dodał: — Pomyśl pan. Pan możesz to objaśnić. Jest to wyobrażenie z przed proga świadomości, wyobrażenie rozcieńczone (*diluted presentation*).

— W samej rzeczy—rzekł Psycholog i wrócił nam pewność — jest to kwestya prosta w psychologii. Powinienem był o tem pomyśleć. To wystarcza i przepysznie podpira paradoks. Nie możemy widzieć, nie możemy rozpoznać maszyny, zarówno jak nie możemy zauważyć szprychy kręcącego się koła lub pocisku przebiegającego powietrze. Jeżeli ta machina przebiega czas pięć-

dziesiąt lub sto razy szybciej niż my, jeżeli w naszą sekundę przebywa minutę, to wrażenie, jakie może wywołać, będzie z pewnością jedną pięćdziesiątą lub jedną setną tego, jakieby wywołała, gdyby nie przebiegała czasu. To dość jasne.

Przesunął ręką przez to miejsce, w którym przedtem stała machina.

— Czy widzicie? — zapytał, uśmiechając się.

Siedzieliśmy może minutę, patrząc na pusty stół. Następnie Podróżnik zapytał nas: co myślimy o tem wszystkim?

— Łatwo w to uwierzyć wieczorem — powiedział Lekarz — lecz poczekajmy do jutra. Poczekajmy na zdrowy rozsądek poranku.

— A czy nie chcielibyście zobaczyć samej maszyny czasu? — zapytał Podróżnik. Następnie, wzięwszy lampę do rąk, poprowadził nas długim, ciemnym korytarzem do swego laboratorium. Żywo przypominam sobie drżące światło, sylwetkę jego oryginalnej, dużej głowy, tańczące po ścianach cienie. Pamiętam jak szliśmy za nim, zakłopotani, pełni nieufności, i jak w laboratorium ujrzeliśmy większe wydanie tego samego małego mechanizmu, który rozwiązał się nam był w oczach. Jedne części były z niklu, inne z kości słoniowej, inne znowu niezawodnie wypilowane z kryształu górnego. Wogóle przyrząd był już gotowy, tylko pookręcane pałeczki kryształowe leżały na ławce jeszcze niewykończone

obok kilku arkuszy rysunków; wziąłem jedną z nich do rąk, aby się lepiej przyjrzeć.

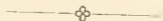
— Tak, zdaje się, że to kwarc.

— Spójrz — rzekł Lekarz — czy mówisz naprawdę, poważnie? Czy też jest to tylko sztuczka, podobna do tego ducha, którego nam pokazywałeś w ostatnie święta Bożego Narodzenia?

— Na tej machinie — rzekł Podróżnik, podnosząc do góry lampę, — zamierzam zwiedzić Czas. Rozumiecie? Nigdy w życiu nie mówiłem z większą powagą.

Nikt z nas nie wiedział co o tem trzymać.

Pochwyciłem wzrok Filby'ego poprzez ramię Lekarza; niedowiarek mrugnął na mnie znacząco.



III.

Podróżnik po Krainie Czasu wraca.

Sądzę, że kiedy się to wszystko działo, nikt z nas nie wierzył w zupełności w Maszynę Czasu. W istocie, Podróżnik po Krainie Czasu był jednym z tych ludzi zbyt śmiałego umysłu, którym z powodu tej śmiałości właśnie wierzyć nie można. Nie wierzyło się w to, co się widziało dokoła niego; zawsze podejrzewało się podejście subtelne, zasadzkę jakiegoś ciekawego pomysłu pod pozorami szczerzej otwartości.

Gdyby np. Filby pokazał nam model i objaśnił rzecz słowami Podróżnika, okazalibyśmy mniej sceptycyzmu; z łatwością bowiem zdołalibyśmy przeniknąć jego pobudki: nawet i czeładnik rzeźnicki mógłby zrozumieć Filb'ego. Lecz w naturze Podróżnika tkwiło coś więcej niż powiew dziwactwa, i dlatego nie dowierzaliśmy mu. Rzeczy, które-by ustaliły sławę człowieka mniej zdolnego, w jego ręku wydawały

się sztuczkami. Nie wzbudza ufności zbyt łatwe czegoś dokonanie. Ludzie poważni, którzy i jego też brali poważnie, nigdy nie byli bezpieczni od wybryków jego myśli; w końcu zawsze poznawali, że solidaryzowanie się z jego poglądami znaczy tyle, co przyozdabianie pokoju dziecinnego misterną porcelaną chińską. Nie sądzę przeto, żeby który z nas w rozmowach zajmował się bardzo podróżowaniem po Krainie Czasu, przez ten tydzień od ostatniego czwartku, jakkolwiek w większości umysłów naszych bezwątpienia tkwiła dziwaczna myśl jej funkcyi, zrozumiałości jej pomysłu a trudności do uwierzenia jej w praktyce, ciekawej możliwości anachronizmu i szczególnego pomieszania pojęć, jakie w danym wypadku zachodzi.

Co się tycze mnie osobiście, to głównie byłem zajęty sztuczką z modelem. Pamiętam, że rozprawiałem o tem z Lekarzem, którego w piątek spotkałem w Muzeum Linneusza. Powiedział mi, że w Tubindze widział już coś takiego, co przy pewnym wysiłku mogło zgasić świecę; nie umiał wszakże objaśnić w jaki sposób zrobiony był ten figielek.

W następny czwartek znowu udałem się na ulicę Richmond. Sądzę, że byłem jednym z najstarszych gości Podróżnika w Czasie. Przybywszy dosyć późno, zastałem już cztery czy pięć osób zgromadzonych w salonie. Lekarz stał przed kominkiem, trzymając w jednej ręce jakiś papier,

w drugiej zegarek, Obejrzałem się dokoła, szukając Podróżnika, a Lekarz się odezwał:

— Już w pół do ósmej; możemy już chyba zasiać do obiadu?

— Gdzie on? — zapytałem o gospodarza.

— A, dopiero pan przychodzisz? Coś dziwnego! Ma przeszkodę, od której nie mógł się uwolnić. W tej oto kartce prosi mnie, aby zasiać do obiadu o siódmej, jeżeli nie wróci. Mówi, że wytłómaczy się po powrocie.

— Zdaje się, że nie warto sobie psuć obiadu — rzekł wydawca naszego dziennika, a w tejże chwili Doktor zadzwonił.

Oprócz Psychologa, Doktora i mnie nikt z obecnych dziś nie był na poprzednim obiedzie. Z nowych gości był Blank, wydawca, o którym wyżej, pewien dziennikarz i jeszcze jeden gość, jakiś badacz, spokojny i lękliwy, którego nie znałem, a który, o ile mi się zdaje, ani razu nie otworzył ust w ciągu wieczora. Przy obiedzie stawiano różne przypuszczenia o nieobecności gospodarza, ja zaś w pół żartobliwym tonie podsunąłem myśl podróży po Krainie Czasu. Wydawca zażądał wyjaśnienia. Psycholog rozpoczął niezręczne opowiadanie o «dowcipnym paradoksie i sztuczce», której byliśmy świadkami przed tygodniem. Był już w środku opowieści, gdy drzwi kurytarza otwarły się zwolna, bez skrzypnięcia. Siedziałem nawprost i pierwszy

zauważyłem, że ktoś wchodzi. — Ach — zawołałem — nareszcie!

Drzwi otwarły się szerzej—i Podróżnik w Czasie stanął przed nami. Wydałem okrzyk podziwu.

— Na miłość boską! człowiecze, co się z tobą dzieje? — krzyknął Lekarz, który z kolei po mnie go ujrzał. I cały stół zwrócił się ku drzwiom. — Podróżnik w Czasie miał niepojęty wygląd. Jego surdut był zakurzony, brudny, wzdłuż rękawów czemś zielonem powalany; włosy, w nieładzie, wydawały się przypruszone siwizną — nie wiadomo czy wskutek pyłu, czy też wskutek rzeczywistej zmiany koloru. Blady był jak widmo; nad podbródku miał ciemną szramę, nawpół zabliznioną, — wyraz twarzy błędny i wyczerpany, jakby po długim cierpieniu. Na chwilę zawahał się na progu, jakgdyby oślepiiony światłem. Następnie wszedł do pokoju: szedł krokiem nierównym, jaki spostrzegałem u kulejących. W milczeniu spoglądaliśmy nań, czekając co powie.

Nie wyrzekł ani słowa, lecz z trudnością zbliżył się do stołu i wskazał na wino. Wydawca napełnił kieliszek szampanem i przysunął mu go. Podróżnik wychylił, i widocznie zrobiło mu to dobrze, bo rozejrzał się dokoła stołu, a na twarzy zajaśniał mu błysk dawniejszego jego uśmiechu.

— Gdzieś był? na jakich światach, człowiecze? — zapytał Doktor.

Podróżnik po Krainie Czasu, zdawało się, słów tych nie słyszał. — Nie przeszkadzajcie sobie — rzekł, jękając się. — Nic mi nie jest.

Zatrzymał się, znowu podsunął kieliszek i znowu wychylił go duszkiem. — Teraz już dobrze — powiedział. Oczy jego zaświeciły silniej, a lekki rumieniec ukazał się na policzkach. Jego wzrok ślizgał się po nas z wyrazem pewnego niejasnego zadowolenia, a następnie pobiegł dookoła ciepłego i wykwintnego pokoju. Później znowu zaczął mówić, ciągle jakby słów dobierał: — Pójdę się umyć i ubrać. Wrócę i opowiem wam... Zostawcie dla mnie kawałek tej baraniny... Łaknę kawałka mięsa.

Spojrzał na Wydawcę, który był rzadkim gościem, i uprzejmie go przywitał. Wydawca chciał go zapytać. — Zaraz wam opowiem — rzekł Podróżnik. — Jestem śmieszny! Będę gotów za minutę.

Postawił kieliszek i skierował się ku drzwiom. Znowu zauważyłem utykanie i powłóczenie nóg po podłodze. Z miejsca swego przyjrzałem się tym jego nogom, gdy obok mnie przechodził. Nic nie miał na nich, oprócz pary zniszczonych, pokrwawionych skarpetek. Nareszcie drzwi zamknęły się za wychodzącym.

Z początku chciałem iść za nim, ale sobie przypomniałem jak nie lubił, żeby się nim zajmować. Może około minuty mój umysł pracował nad zagadką. Później słyszałem jak Wydawca

powiedział, myśląc głośno (po jego wyjściu). — Dziwne zachowanie się naszego znakomitego scientysty! — Słowa te ściągnęły moją uwagę na powrót na oświetlony stół.

— Co to znaczy? — rzekł Dziennikarz — Czyby on z amatorstwa zajmował się sprzedażą nabiału? Nie rozumiem. — Spotkałem się ze wzrokiem Psychologa i w jego twarzy wyczytałem własne tłumaczenie zagadki. Pomyślałem o tem, z jaką trudnością nasz Podróżnik musi się gramolić na schody. Nie sądzę, żeby kto więcej jeszcze oprócz mnie zauważył utykanie na nogi.

Pierwszym, który ochłonął ze zdziwienia, był Lekarz; chwycił za dzwonek, bo Podróżnik nie lubił, aby podczas obiadu usługujący oczekiwali w pokoju na przyniesienie nowej potrawy.

W tej chwili Wydawca z namaszczeniem powrócił do swego noża i widelca, a za jego przykładem poszedł i Milczący Gość. Obiad się kończył. Przez chwilę rozmowa składała się z wykrzykników z małemi przerwami niemego podziwu. Wydawca usychał z ciekawości; pytał: — Czy nasz przyjaciel nie doznaje czasem zawodu w pobieraniu swych dochodów? A może ulega napadom, jak Nabuchodonozor? — Jestem pewny, że to sprawa Machiny Czasu — rzekłem i przypomniałem to, co nam Psycholog powiedział był na poprzedniem zebraniu.

Nowi goście wyrazili otwarcie niedowierzanie. Wydawca wystąpił z zarzutami:

— Czemże właściwie było owo podróżowanie w Czasie? Czy człowiek może pokryć się pyłem, zanurzwszy się w paradoksie? Jestże to możliwe? Następnie, gdy się już raz myśla swoją rozgrzał, puścił się zaraz na karykaturę. — Czy w przyszłości niema miotełek do czyszczenia ubrania? — zapytywał.

Dziennikarz również wierzyć nie chciał za żadną cenę i przyłączył się do Wydawcy w ławtewem zresztą zadaniu ośmieszenia całej sprawy. Obaj byli dziennikarzami w nowym stylu: ludzie młodzi, bardzo weseli, nieszanujący powag.

— Nasz korespondent specjalny z dnia pojutrzejszego donosi, — mówił, a raczej z humorem krzyknął, Dziennikarz, gdy Podróżnik już powracał do sali.

Istotnie wszedł. Był ubrany w zwykły garnitur wieczorowy i nic, prócz błędnego wzroku, nie przypominało tej zmiany, która mnie odrazu tak w nim uderzyła.

— Mówię — rzekł wydawca wesoło — że ci nic-dobrego mówili o tobie, iż podróżowałeś w środek przyszłego tygodnia! Jeżeli łaska, opowiedz nam wszystko o małym Roseberym. Jakię chcesz honorarium?

Podróżnik po Krainie Czasu zasiadł na swem miejscu, nie mówiąc ani słowa. Podług dawnego zwyczaju uśmiechał się spokojnie. — Gdzie moja baranina? — zapytał. — Jaka to przyjemność znowu wetknąć widelec w mięso!

— A teraz opowiadaj! — krzyknął Wydawca.

— Pał dyabli opowiadanie! — rzekł Podróżnik. — Muszę co zjeść. Ani słowa nie powiem, dopóki do moich arteryi nie dostanie się trochę peptonu. Dziękuję. — A teraz, soli.

— Słówko — rzekłem. — Czy podróżowałeś w Czasie?

— Tak — odpowiedział Podróżnik, mając pełne usta pieczeni, i skinał przytem głową.

— Dam szylinga za wiersz dosłownego opowiadania — rzekł Wydawca.

Podróżnik z Krainy Czasu posunął swój kieliszek w stronę Milczącego Gościa i trącił go końcem paznogcia; w odpowiedzi na to Milczący Gość, ciągle w twarz jego wpatrzony, poruszył się gwałtownie i nalał mu wina. Reszta obiadu przeszła spokojnie.

Co do mnie, wiele kwestyi zawisło mi na ustach i muszę powiedzieć, że to samo było i z innymi. Dziennikarz usiłował przerwać ogólne skrępowanie, opowiadając anegdoty o Hettie Potter.

Podróżnik po krainie Czasu całą uwagę swoją skierował na obiad i okazywał apetyt godny włóczęgi. Człowiek od Medycyny ćmił papierosa i z pod brwi spoglądał na gospodarza. Milczący Gość wydawał się bardziej jeszcze niezdarłym i niezdarzonem niż zazwyczaj: pił szampana w prawidłowych odstępach czasu i ze

stanowczością spokoju dalekiego od wszelkiej nerwowości.

Wreszcie Podróżnik odsunął talerz i rozejrzał się wkoło.—Przypuszczam, że się wam winien wytłómaczyć — powiedział.—Byłem poprostu zgłodniały. Przeżyłem bardzo dziwne chwile.—Wyciągnął rękę po cygaro, obciął je i zapalił.

— Lecz przejdźmy do fajczarni. Zbyt to długa historia, aby ją można opowiedzieć przed talerzami po jedzeniu.

Nacisnąwszy dzwonek po drodze, poprowadził nas do sąsiedniego pokoju.

— Czy mówiłeś Blankowi, Dashowi i Chośemu o maszynie? — spytał mnie, zwrócony do trzech nowych gości, rozpierając się w fotelu na biegunach.

— Ależ cała ta sprawa to przecież żart! — zawołał Wydawca.

— Dziś, tego wieczora nie będę się wdawał w dowodzenia. Nie mam zamiaru opowiadać wam bajek, lecz nie mogę też i wytaczać dowodów. Pragnę tylko — ciągnął dalej—opowiedzieć wam, co mi się wydarzyło, jeżeli słuchać zechcecie, lecz nie przerywajcie mi. Muszę wam to opowiedzieć. Żle na tem wyjdę: większa część tego, co powiem, wyglądać będzie na kłamstwo. Ale niech i tak będzie! Jest to przecież prawdą — każde słowo, wszystko co do słowa.

— Byłem w laboratorium swem jeszcze o czwartej, a od tego czasu... przeżyłem ośm dni...

takich, jakich dotąd nie przeżyła żadna istota ludzka! Jestem dyabelnie znużony, lecz nie mógłbym zasnąć, dopóki -bym nie opowiedział wam wszystkiego. Wtedy dopiero pójdę do łóżka. Ale nie przerywajcie! — zgoda?

— Zgoda — rzekł Wydawca, a pozostali echem powtórzyli: — Zgoda!

I Podróżnik po Krainie Czasu zaczął opowiadać swe przygody, które tu dalej przytaczam.

Z początku siedział w fotelu i mówił jak człowiek zmęczony; następnie się ożywił. Zapisując tę opowieść, czuję aż nadto dobrze niedostateczność pióra i atramentu, a nadomiar nieudolność własną do wyrażenia wszystkich jej zalet. Przypuszczam jednak, że przeczytacie z uwagą; szkoda tylko, iż nie możecie widzieć bladej, szczerzej twarzy mówcy w jasnym oświetleniu małej lampy,—iż nie możecie słyszeć intonacji jego głosu. Nie będziecie też mieli wrażenia z wyrazu jego twarzy, odbijającej w sobie koleje samych przygód. Większa część słuchaczy pogrążona była w cieniu, bo nie zapalono świec, i tylko twarz Dziennikarza i nogi Milczącego Gościa od kolan do stóp znajdowały się w oświetleniu. Z początku spoglądaliśmy wciąż na siebie. Po pewnym czasie przestaliśmy patrzeć jeden na drugiego i wpatrywaliśmy się już tylko w twarz Podróżnika przybyłego z Krainy Czasu.

IV.

Podróż w Czasie.

— Przeszłego czwartku niektórym z was mówiłem o zasadzie, na jakiej zbudować można Maszynę Czasu. Pokazałem w pracowni swej sam ten przyrząd, jeszcze wówczas niewykończony. Stoi on tam napowrót, trochę zniszczony w podróży; jeden z prętów kości słoniowej pękł, jeden drążek brązowy się wygiął, lecz inne części są w dość dobrym stanie. Spodziewałem się, że wykończę przyrząd w piątek; lecz w piątek właśnie, gdy już prawie dobijałem do brzegu ze składaniem, spostrzegłem, że jeden pręt nikłowy był zakrótki o cal, i musiałem to naprawić, tak, iż machina była gotową dopiero dziś rano. Dopiero tedy o dziesiątej dnia dzisiejszego najpierwsza ze wszystkich machin czasu rozpoczęła swą czynność. Dałem jej jeszcze ostatnie przyłożenie ręki, jeszcze raz sprawdziłem wszystkie śruby, wpuściłem jedną kroplę więcej



oliwy na czop kwarcowy i zasiadłem na siedzeniu. Przypuszczam, że samobójca, który przykładając pistolet do czaszki, doznaje takiego samego podziwu nad tem, co go ma spotkać, jakiego ja doznawałem wówczas, gdy w podróż po Krainie Czasu wyruszał. Jedną ręką ująłem dźwignię do puszczania w ruch, drugą — dźwignię do zatrzymywania, nacisnąłem pierwszą, a potem drugą. W tej chwili doznałem takiego wrażenia, jakgdybym się wywracał; jak zmora nocna dręczyło mnie uczucie padania. Spojrzałem dookoła: laboratorium było jak przedtem. Co się stało? Na chwilę podejrzewałem, że mię mamia własne moje zmysły. Później spojrzałem na zegarek. Przed chwilą była może minuta po dziesiątej; teraz już prawie po wpół do czwartej! — Odetchnąłem, zacisnąłem zęby, ująłem oburącz dźwignię poruszającą i szybko zacząłem się poruszać. Laboratorium ogarniał mrok coraz ciemniejszy. Pani Watchett, widocznie nie spostrzegłszy mnie, przeszła przez pokój ku drzwiom do ogrodu. Przypuszczam, że potrzebowała około minuty mniej więcej dla przejścia tej przestrzeni, lecz mnie wydawało się, że przeleciała przez pokój jak rakieta. Przesunąłem dźwignię do ostatniej podziałki: noc w jednej chwili, jakbyś lampę przykręcił. Upłynęła chwila, a po nocy znowu nagle poranek. Widziałem laboratorium w konturach niejasnych i ciemnych; i odtąd już coraz niewyraźniej. Czarna noc następna prze-

biegła, później znów dzień, znowu noc i dzień, i tak dalej, w coraz - to szybszej kolei. Uszy moje napełniły się szmerem jakiegoś wiru, a na umysł spadła mi dziwna, ciężka pomroka. Obawiam się, czy zdołam należycie wyrazić szczególne uczucie podróży w Czasie, uczucie bardzo nieprzyjemne. Dla samego siebie byłem jak człowiek wyrzucony z procy, spadający głową na dół. Gdy przyspieszyłem bieg, noc następowała za dniem, jakby za uderzeniem czarnego skrzydła. Niewyraźny, mroczny obraz laboratorium zniknął mi z oczu, i teraz już widziałem słońce, jak szybko biegło po sklepieniu niebios, jak przeskakiwało je w ciągu minuty, a każda minuta oznaczała dzień. Przypuszczałem, że laboratorium już gdzieś przepadło, a ja dostałem się już w otwarty przestwór. Miałem niewyraźne wrażenie wchodzenia na rusztowanie, lecz poruszałem się zbyt szybko, abym mógł sobie zdać sprawę z ruchów, odbywających się wkoło mnie. Najpowolniejszy ślimak, jaki kiedykolwiek pełzał, dla mnie przelatywał jeszcze zbyt szybko. Migające się kolejno ciemności i światła było niezmiernie uciążliwe dla oczu. W przerwach ciemności widziałem księżyc, biejący szybko od pierwszej kwadry do pełni, i spostrzegłem słabe migotanie gwiazd, krążących po niebie. Teraz, przy ciągle wzrastającej szybkości, drgania nocy i dnia zlały się w jednostajną szarość; sklepienie nieba nabrało cudnej głębokości



błękitu, barwiło się wspaniale, jakby od zorzy porannej; żarzące się słońce stało się jedną pręgą ognistą, jednym łukiem świetlanym w przestrzeni a księżyc zmienił się we wstęgę falującego światła. Nie widziałem już gwiazd; widziałem tylko tu i owdzie wirujące jasne koła na błękitcie.

Krajobraz był mglisty i niejasny. Byłem wciąż jeszcze na stoku wzgórza, na którym stoi obecnie nasz dom; z boku wychylały się szare i ciemne pagórki. Widziałem drzewa wyrastające i znikające jak opary, to zielone, to szare; rosły, rozpuszczały konary i nikły. Widziałem wyrastające olbrzymie budynki, piękne, lecz jakby za mgłą i znikające jak we śnie. Zdawało mi się, że cała powierzchnia ziemi zmienia się, zlewa i topnieje w moich oczach. Małe wskazówki na tarczach zegarowych, które pokazywały szybkość lotu, obiegały krąg swój coraz szaleniiej. Zauważyłem teraz, że pręga słoneczna przeskakuje ciągle to w górę, to na dół od jednego punktu przesilenia do drugiego w ciągu kilkudziesięciu sekund, jeszcze prędzej, coraz prędzej, że zatem więcej niż rok przebiegam w jednej minucie; i co minuta biały śnieg zasypywał świat i znowu znikał, ustępując miejsca jasnej i tak samo szybko przemijającej zieloności wiosny.

Naraz nieprzyjazne wrażenie biegu utraciło swą przykrość, aż wreszcie zamieniło się na coś przypominającego wesołość hysteryków. Spostrzegłem niewłaściwe pochylenie maszyny, i nie umiałem

zdać sobie z niego sprawy. Umysł mój był zanadto wstrząśnięty, aby wyteżać uwagę. Jakby ogarnięty szaleem rzuciłem się w Przyszłość. Z początku nie przyszło mi na myśl zatrzymać się, nie myślałem zgoła o niczem, doznawałem tylko tych nowych wrażeń; lecz teraz w umyśle moim powstały nowe szeregi uczuć — pewnego rodzaju ciekawość, a następnie strach. Nareszcie uczucia te zawładnęły mną zupełnie. — Co za dziwny rozwój ludzkości! — mówiłem sobie. — Jakież niesłychany postęp w naszej, ledwie zaczątkowej, cywilizacyi z czasem dokonać się może — myślałem, wpatrując się bliżej w ten ciemny, wymykający się świat, który biegł i falował przed memi oczyma. — Widziałem jak wyrasta dokoła mnie ogromna i wspaniała architektura, dająca nieskończenie wyższe wrażenie potęgi niż wszystkie budynki naszych czasów, a jednak na pozór zbudowana z połysku tylko i mgły. Widziałem jak na pochyłości wzgórza rozkrzewia się o wiele bogatsza zieloność, a nic z bujności swej nie traci w porze zimowej. Ziemia wydawała mi się piękniejszą nawet poprzez tę jakby gazę oczarowania. I tak mój umysł, zrobiwszy niejako obrót koła, uczuł w sobie potrzebę zatrzymania się.

Szczególnem niebezpieczeństwem grozić mogło to, że w przestrzeni zajmowanej przeze mnie lub przez machinę mogła się znaleźć jakaś materialna substancja. Dopóki podróżowałem w Cza-

sie z wielką szybkością, nie miało to znaczenia: byłem, że się tak wyrażę, wysubtelniony, precyskałem się jak para przez odległości spotykane między cząsteczkami materji. Lecz przy zatrzymaniu się groziło mi niebezpieczeństwo uwięźnięcia w przestworze, pochwycenia każdej mojej drobiny przez tę materję, jaką mogłem na swej drodze spotkać; moje atomy mogłyby wejść w tak blizkie zetknięcie z atomami przeszkody, iż w rezultacie dokonałaby się głęboka zmiana chemiczna — być może nawet wybuch sięgający daleko, któryby i mnie i mój aparat wyrzucił przez wszystkie możliwe wymiary — aż do dziedziny tego, co nazywamy Nieznanem. Możliwość czegoś podobnego ustawicznie przychodziła mi na myśl, gdy budowałem machinę; lecz wówczas przyjmowałem to wesoło, jako ryzyko, niedające się pominąć — jedno z tych, na jakie człowiek zawsze musi się odważyć. Teraz, gdy ryzyko wystąpiło już bezpośrednio, nie widziałem go już w tak różowem świetle. W istocie, szczególnie dziwne położenie, w jakim się znalazłem, dręczące brzęczenie i podskakiwanie machiny, a nade wszystko uczucie długiego upadku w przestrzeni wyczerpało zupełnie moje nerwy. Powiedziałem sobie, że nigdy już chyba nie będę mógł się zatrzymać, i w porywie wesołości postanowiłem zatrzymać się natychmiast. Jak obłąkaniec niecierpliwy szarpnąłem gwałtownie dźwi-

gnię; w jednej chwili machina zatrzęsła się, a ja poleciałem w przestwór głową naprzód.

W uszach rozległ mi się huk piorunu. Na chwilę byłem ogłuszony. Dokoła mnie szumiał grad bez litości, ja zaś siedziałem na miękkiej trawie przed wywróconą machiną. Wszystko wydawało mi się szarem, lecz zauważyłem już, że ustał zamęt w mym słuchu. Rozejrzałem się. Byłem, jak się zdaje, w ogrodzie, na małym trawniku, otoczonym zaroślami rododendronów, i zauważyłem, że ich fioletowe i ponsowe kwiaty sypały się jak deszcz od ciosów gradu. Spadający i odskakujący grad otaczał machinę jakby mgłą, a nad powierzchnią ziemi miał w oddali postać dymu. W jednej chwili przemokłem do nitki. — Piękna gościnność! — zawołałem — okazana człowiekowi, który podróżował niezliczone lata, żeby was zobaczyć.

Teraz pomyślałem, jakim było szaleństwem z mej strony wystawiać się na przemoczenie. Stałem i rozglądałem się dookoła. Poprzez ciemny strumień wody dawał się niewyraźnie dojrzeć olbrzymi jakiś kształt na tle rododendronów; była to postać wykuta z białego kamienia. Nic innego zresztą na świecie całym nie widziałem. Wrażenia moje trudno mi opisać. Gdy kolumny gradu zcieńczały, ujrzałem wyraźniej ową białą figurę. Była ogromnej wielkości, bo do ramion jej sięgały górne gałęzie szembrnej brzozy. Marmurowy posąg miał kształt jakby skrzydlatego

sfinksa; skrzydła jednak nie były osadzone prostopadle z boków, lecz rozpostarte jakby do lotu. Piedestał, jak mi zdawało, z brązu, pokrywała gruba warstwa śniedzi. Oblicze zwrócone ku mnie; oczy, pozbawione wzroku, zdawało się jakby mnie śledziły; na ustach igrał lekki uśmiech. Twarz była silnie zmieniona przez wpływy atmosferyczne, co nadawało jej nieprzyjemny pozór chorobliwości. Stałem tak, patrząc na olbrzyma czas pewien — pół minuty, a może pół godziny. Doznawałem takiego złudzenia, jakby olbrzym przysuwał się i odsuwał w miarę tego, czy grad padał gęstszy czy rzadszy. W końcu oderwałem od niego oczy na chwilę i zauważyłem, że zasłona gradowa nabiera już przejrzystości, niebo się rozjaśnia, a słońce zaczyna się przez chmury przebijać. Znowu spojrzałem na czołgające się białe kształty, i nagle stanęło przede mną jasno okropne zuchwałstwo mojej podróży. — Co będzie, co mogę ujrzeć, gdy ciemna zasłona zupełnie już zniknie? Czego już ludzie nie przeżyli? Co będzie, jeżeli okrucieństwo stało się namiętnością pospolitą? Co będzie, jeżeli w tym przeciągu czasu rasa zatraciła swe człowieczeństwo i wyrodziła się w coś nieludzkiego, niesympatycznego, a podbijająco potężnego? Może ujrzę jakie dzikie zwierzę z dawnego świata, tylko jeszcze straszniejsze i budzące odrazę wskutek podobieństwa do czło-

wieka,—jakieś wstrętne stworzenie, które należałoby bez wahania zabić?

Rozróżniałem już teraz inne wielkie kształty, olbrzymie budynki z krętymi balkonami i smagłymi kolumnami; obok nich zarosłe lasem zbocza wzgórzy wysuwały się, jakby pełzały ku mnie. Burza ustawała.

Ogarnął mię strach paniczny. W szale skoczyłem do Machiny Czasu i starałem się szybko doprowadzić ją do porządku. Podczas tej czynności słońce uśmiechnęło się, promienie jego przedarły się przez burzę piorunową. Szary opad, zmieciony, rozwiął się jak powłóczysta szata ducha. Nade mną, na ciemnym błękitnie letniego nieba, niewielkie resztki chmur kłębiły się, znikając powoli. Wokoło mnie stały jasno i wyraźnie olbrzymie budynki, błyszczące od wody deszczowej i upstrzone na białą ziarnami gradu, które jeszcze nie zdołały stopnieć, w kupkach tu i owdzie leżących. Czułem się bezbronnym pośród dziwnego tego świata; czułem niejako to, co może odczuwać ptak w czystym powietrzu, który wie, że nad nim krąży sokół i ma się nań rzucić. Obawa moja doszła do szaleńczego. Zaparłem oddech, zacisnąłem zęby i znowu pięścią i kolanami nacisnąłem maszynę; poddała się rozpaczliwemu wysiłkowi: obróciła się, uderzając mnie silnie w podbródek. — Trzymając jedną rękę na siodle, a drugą na kierowniku, stałem cały drżący, gotów wzbić się na nowo.

Lecz wraz z możliwością szybkiego odwrotu wróciła mi odwaga. Patrzyłem teraz z większą ciekawością a mniejszą trwogą na ten świat dalekiej przyszłości. W okrągłym otworze, wysoko w murze najbliższego domu, ujrzałem grupę osób ubranych w kosztowne, jedwabiste szaty. Zobaczywszy mnie, twarze swe ku mnie zwrócili.

Wtedy usłyszałem zbliżające się głosy. W zaroślach około białego sfinksa migały się ramiona i głowy biegnących ludzi. Jeden z nich ukazał się na ścieżce, wiodącej prosto na trawnik. Była to mała, wątła istota — może cztery stopy wysokości — odziany w tunikę ponsową, przepasaną skórzanym pasem. Na nogach miał sandały, czy trzewiki — nie mogłem dobrze rozpoznać. Łydki miał obnażone aż do kolan; siedł z gołą głową. Podczas tych spostrzeżeń dało mi się uczuć po raz pierwszy gorąco w powietrzu.

Zbliżająca się postać uderzyła mnie odrazu jako istota bardzo piękna i wdzięczna, lecz i niesłychanie wątła. Rumiana twarz przypominała ładny typ suchotników—ową piękność hektyczną, o której tak wiele słyszymy. Na widok zbliżającego się nagle odzyskałem ufność. Odjąłem ręce od maszyny.

V.

W złotym wieku.

Po chwili staliśmy naprzeciw siebie: ja i ta delikatna istota przyszłości. On podszedł prosto do mnie i rozśmiał mi się w oczy. Jednocześnie uderzył mnie w nim brak wszelkich oznak obawy. Następnie zwrócił się do dwóch innych, którzy szli za nim, i przemówił do nich językiem dziwnym, nader słodkim i płynnym.

Podeszło ich więcej i wreszcie zebrała około mnie grupa niewielka, z ośmiu czy dziesięciu tych pięknych istot. Jedna z nich zwróciła się do mnie. Przyszła mi do głowy dziwaczna myśl, że głos mój wydać się im może zbyt twardym i grubym. Potrząsnąłem głową, a pokazując na uszy, potrząsnąłem po raz drugi. Zrobiłem krok naprzód: zawahał się, wreszcie dotknął mej ręki. Następnie uczułem inne miękkie dotknięcia na karku i ramionach. Chcieli zapewnić się, że jestem istotą rzeczywistą. W tem wszystkim nie

było niczego, coby mogło wzniecać obawę. Drobny i piękny lud miał w sobie coś, co wzbudzało zaufanie: pewną szlachetność wdzięczną, pewną dziecinną swobodę. Zresztą, wyglądali tak delikatnie, że wyobrażałem sobie, iż mógłbym od jednego zamachu tuzin ich cały powalić jak kręgle. Lecz zrobiłem nagły ruch, dla ostrzeżenia ich, gdym spostrzegł, że drobne ich rumiane rączęta dotykają Machiny Czasu. Na szczęście, dopóki jeszcze nie było zapóźno, przypomniałem sobie o niebezpieczeństwie, o którym nie pomyślałem dotychczas: zbliżywszy się do prętów maszyny, odśrubowałem małe dźwignie, które ją wprawiały w ruch, i schowałem je do kieszeni. Następnie znowu zwróciłem się do owych mieszkańców nowego świata, aby spróbować w jakikolwiek sposób porozumienia się z nimi.

Przyglądając się bliżej ich rysom, spostrzegłem niektóre inne szczegóły w tym typie piękności, przypominającym porcelanę saską. Ich zarost, jednostajnie kędzierzawy, kończył się nagle nad uszami i nad karkiem; najmniejszego śladu włosów nie było na twarzy, a co uszy, to już mieli prawdziwie maleńkie. Usta także małe, ciemnoczerwone, z wązkiemi raczej wargami; małe podbródki kończyły się ostro. Oczy duże i łagodne; zdawało mi się — może to być tylko pewnym egotyzmem z mej strony — że do pewnego stopnia nie widziałem w nich żadnego zainteresowania się, jakiego mogłem przecież oczekiwać.

Ponieważ widocznie nie pragnęli wcale porozumieć się ze mną, lecz tylko stali dookoła, uśmiechając się i mówiąc do siebie miękkiemi, gruchającemi dźwiękami, sam więc rozpocząłem rozmowę. Wskazałem na Maszynę Czasu i na siebie. Następnie, po pewnem wahaniu się: jak wyrazić czas, — podniosłem rękę ku słońcu. W tej chwili dość piękna mała figurka, ubrana w barwy ponsową i białą, śledziła moje ruchy i zadziwiła mnie naśladowaniem huku piorunu.

Na chwilę zawahałem się, jakkolwiek znaczenie tego gestu było dosyć jasnem. Nagle przyszło mi do głowy zapytanie: czy nie są to waryaci? Nie łatwo wam pojąć jak myśl podobna powstała we mnie. Jak wiecie, zawsze przypuszczałem, że ludzie z roku ośmkroćstuidwutysięcznego nie dadzą się porównać z nami pod względem wiedzy, sztuki, wszystkiego. Nagle jeden z nich zadaje mi pytanie, które okazuje, że pytający stoi na jednym poziomie z naszymi dziećmi pięcioletniemi: pyta się mnie, mianowicie, czym spadł ze słońca z uderzeniem piorunu! Osłabiło to w znacznym stopniu sąd, jaki wytworzyłem był sobie na zasadzie ich ubrania, delikatności ciała i rysów. Przemknęła mi przez głowę myśl, że nie miałem po co budować swej Maszyny Czasu. Kiwnąłem głową, wskazałem na słońce i dałem im tak żywe naśladowanie piorunowego huku, że im aż przeraził. Cofnęli się parę kroków i przystanęli z wyrazem zaciekawienia.

Następnie jeden z nich zbliżył się do mnie z uśmiechem, przyniósł girlandę pięknych kwiatów, zupełnie dla mnie nowych, i włożył ją na moją szyję. Pomysł ten znalazł u wszystkich uznanie; wszyscy rozbiegli się po kwiaty i wśród ciągłego śmiechu zaczęli mnie obsypywać niemi, aż wreszcie byłem już zupełnie zasypany. Ponieważ nigdy nie widzieliście podobnych kwiatów, trudno wam wyobrazić sobie, jakie misterne i cudne kształty wytworzyła kultura w ciągu lat niezliczonych.

Któryś z małych ludzi podał myśl poprowadzenia mnie na widowisko w pobliskim budynku. Poszliśmy tam, mijając sfinksa z białego marmuru, sfinksa, który przez cały ten czas wpatrywał się we mnie z charakterystycznym uśmiechem, jakby szydził z mojego podziwu. Stanęliśmy przed wielkim szarym budynkiem z ciosanego kamienia. Gdy wchodziłem tam razem z nimi, ogarnęła mnie niepowstrzymana wesołość, na myśl z jaką to ufnością wytworzyłem był sobie z góry wyobrażenie o głęboko poważnej i rozumnej potomności!

Budynek miał olbrzymie wejście i kolosalne rozmiary. — Oczywiście, głównie zajmował mnie rojący się tłum ludu małego i duże portale rozwarte przede mną, ciemne i tajemnicze. Ogólne wrażenia, odebrane od świata, jaki widziałem nad ich głowami, dały mi skłębioną masę wspaniałych krzewów i kwiatów, w rodzaju ogrodu,

oddawna zaniedbanego, ale też i niezarośniętego chwastami. Widziałem wielkie ilości ogromnych kłosów, dziwnych jakichś kwiatów białych, których płatki były jakby z wosku a kielichy miały może stopę średnicy. Rosły one rozrzucone, jakgdyby w stanie dzikim, pomiędzy krzewami o liściach pręgowanych; lecz, jak mówiłem, nie przyjrzałem im się wówczas bliżej. Machineę Czasu pozostawiłem na łące, pomiędzy rododendronami.

Łuk bramy był bogato rzeźbiony. Rzecz prosta, nie mogłem się przyjrzeć bliżej rzeźbom, jakkolwiek, przechodząc, miałem takie wrażenie jakby mi przypominały ornamentykę starofenicką; uderzyło mnie zarazem i to, że były strasznie odrapane i skruszałe od działania powietrza i słońca. Jeszcze wielu ludzi jaskrawo ubranych spotkałem w bramie, i tak weszliśmy razem: ja, ubrany w ciemny ubiór dziewiętnastego wieku, wyglądający dosyć śmiesznie w swem okwieceniu, i otaczający mnie, wirujący tłum jasnych, jaskrawych szat i oślepiająco białych nóg, w melodyjnym zgiełku śmiechu i hałaśliwych rozmów.

Wielka brama prowadziła do również wielkiej sali, wybitej ciemną materyą. Sufit tonął w ciemności; okna, po części kolorowe, po części nieoszkłone, wpuszczały łagodne światło. Podłoga była z ogromnych brył białego metalu twardego, z brył, nie z płyt. Powydeptywały ją zamarłe pokolenia, co można było sądzić z głębokich bród, które powytwarzały się na ścieżkach bardziej uczęszczanych.

nych. Wzdłuż sali były ustawione niezliczone stoły, zrobione z brył polerowanego kamienia, wzniesione około stopy nad podłogę, a na nich stosy owoców. Niektóre z nich rozpoznałem jako rodzaj wyolbrzymionych pomarańczy i malin, lecz większości zgoła nie znałem. Wszystkie one uderzały niezwykłością rozmiarów, barw i kształtów.

Pomiędzy jednym stołem a drugim rozesłana była wielka liczba poduszek. Rozsiedli się na nich moi przewodnicy, dając mi znak, abym to samo uczynił. Bez ceremonii, ale i nie bez wdzięku, zaczęli rękami jeść owoce, odrzucając skórki, korzonki i t. p. w szerokie otwory z boku stołów. Poszedłem za ich przykładem, bo czułem głód i pragnienie. Jednocześnie dowoli przypatrywałem się sali.

Co mnie najbardziej uderzało, to jej wygląd zniszczony. Ramy zakurzonych okien, ułożone w figury geometryczne, były połamane w wielu miejscach, a na frankach, osłaniających ich części wyższe, leżały grube pokłady kurzu. Zwróciło to również moją uwagę, że róg stołu marmurowego około mnie był obtracony. Tem nie mniej jednak widok ogólny sprawiał wrażenie bogactwa i malowniczości. Było może około stu ludzi biesiadujących w sali; większość, która usiadła, jak mogła najbliżej mnie, spoglądała na mnie z ciekawością, a małe ich oczy żywo błyszczały z po-nad owoców, które spożywali. Wszyscy

byli odziani tą samą, miękką, lecz mocną, materią jedwabną.

Mimochodem zauważyć można, że owoce były ich pokarmem wyłącznym. Ten lud dalekiej przyszłości hołdował ścisłemu wegetaryanizmowi. Dopóki byłem z nimi, wbrew zachciankom mięsożernym, musiałem również być owocożercą. I rzeczywiście, przekonałem się później że konie, woły, owce, psy za ichtyosaurem przeszły do niebytu. Ale owoce były doskonałe; szczególnie jeden, prawdopodobnie sezonowy w tym czasie, owoc mączysty w łupince trójściennej — był szczególnie dobry i stał się moim przysmakiem ulubionym. Z początku te dziwne owoce wprawiały mnie w kłopotliwy podziw; to samo było i z osobliwszemi kwiatami, jakie tam widziałem; lecz później zacząłem pojmować rację ich bytu.

— W każdym razie obecnie opowiadam wam o moim obiedzie z owoców w dalekiej dopiero przyszłości — wtrącił Podróżnik po Krainie Czasu, nie bez ujmującego humoru.

— Jak tylko trochę zaspokoilem apetyt, postanowiłem nieodwołalnie starać się o poznanie mowy tych nowych ludzi. Oczywiście, była to pierwsza rzecz do zrobienia. Owoce wydawały mi się właściwym przedmiotem na sam początek nauki: trzymając też jeden z nich w ręku, zacząłem wydawać z siebie cały szereg pytających dźwięków i gestów. Miałem niemałą trudność

w wyrażaniu swych myśli. W pierwszej chwili usiłowania moje spotykały się ze wzrokiem podziwu, lub śmiechem niewysłowienie wdzięcznym; lecz zawsze po chwili mała jakaś osóbka o jasnych włosach odgadywała mój zamiar i wymawiała nazwę żadaną. Gawędzili i szeroko rozprawiali o swych interesach. Napróżno siłęm się na oddanie miłych dźwięków ich mowy; usiłowania moje wywoływały tylko szczerą, choć niezbyt uprzejmą, wesołość. Ja jednak znalazłem się w położeniu takim, jak bakałarz pośród dzieci: wytrwałem w postanowieniu i wkrótce już miałem do rozporządzenia około dwudziestu rzeczowników; następnie przeszedłem do zaimków wskazujących i nawet do czasownika jeść. Lecz była to praca powolna, i mały lud wkrótce znudził się i starał się unikać moich zapytań, tak, iż z konieczności przystałem na to, że będą mi dawali lekcyje w małych dozach, kiedy sami poczują w sobie do tego ochotę. I przekonałem się, że w małych dozach rozłoży się to na czas bardzo długi, bo nigdy nie spotkałem ludu gnuśniejszego lub łatwiej ulegającego zmęczeniu.

VI.

Zmrok ludzkości.

Rychło odkryłem w moich małych gospodarzach rzecz zadziwiająca: brak wszelkiej ciekawości. Przychodzili do mnie z głośnemi okrzykami podziwu, jak dzieci, lecz, również jak dzieci, szybko przestawali zajmować się i szli dalej, poszukując nowej zabawki. Gdy się skończył obiad wraz z początkami mojej konwersacyi, zauważyłem po raz pierwszy, że odeszli wszyscy, którzy najpierwej mnie otaczali. Dziwna rzecz, jak szybko przestałem być zajmującym dla tego małego ludu! Wyszedłem znowu przez bramę na światło dzienne, jak tylko zaspokoilem głód. Ustawicznie spotykałem coraz-to więcej tych ludzi przyszłości, którzy kawałek drogi szli za mną, papłali i śmieli się ze mnie, a potem, uśmiechnąwszy się i zrobiwszy parę gestów przyjacielskich, pozostawiali mnie własnemu memu przemysłowi.¹

Na świecie stała się cisza wieczoru, a gdy wysunąłem się z wielkiej sali, krajobraz był już oświetlony ciepłym żarem zachodzącego słońca. Z początku wszystko wprawiało mnie w zakłopotanie, wszystko różniło się tak bardzo od świata, który znałem — nawet kwiaty. Wielki szary budynek leżał na pochyłości szerokiej doliny rzecznej dolnej Tamizy, lecz Tamiza oddaliła się była może na milę od swego położenia dzisiejszego. Postanowiłem wejść na wierzchołek wzgórza, około półtorej mili od miejsca, skąd mógłbym mieć rozleglejszy widok na naszą planetę roku 802701 Anno Domini. Bo muszę objaśnić, że taką datę wskazywała mała tarcza w mojej machinie.

Tak chodząc, zwracałem uwagę na każdy szczegół, któryby mógł posłużyć do objaśnienia tego stanu świetności na ruinach, stanu, w jakim znalazłem świat przyszły, gdyż istotnie była to ruina. Idąc na wierzchołek pagórka, spostrzegłem, naprzykład, ogromną masę brył granitowych, połączonych z sobą za pomocą glinu: wielki labirynt stromych urwisk i potrzaskanych obłamów, pośród których rosły większe grupy pięknych drzew, z kształtu podobnych do pagód indyjskich — być może pokrzyw — lecz o liściach pięknie brunatno nakrapianych i nieparzących. Widocznie były to zwaliska jakiegoś kolosalnego budynku; przeznaczenia jego w żaden sposób dojść nie mogłem. W tem miejscu było mi

sądzonem doświadczyć szczególnego wypadku, pierwszego wtajemniczenia w bardzo dziwne odkrycie — lecz o tem powiem we właściwym czasie.

Rozglądając się dookoła z płaskowzgórza, na którym się zatrzymałem, stwierdziłem przez nagłe zestawienie myśli, że nie widać tu zgoła małych budynków. Prawdopodobnie dom pojedynczy już się w mgłę był rozpląnął, a może nawet i pojedyncza rodzina. Tu i owdzie ponad zielonością wzbijały się budynki podobne do pałaców, lecz dom i zagroda wiejska, które stanowią tak charakterystyczny rys w krajobrazie angielskim, już znikły. — Komunizm! — rzekłem do siebie.

Ale myśl tę zaraz inna spłoszyła. Patrzałem na pół tuzina drobnych postaci, które szły moim śladem. Nagle spostrzegłem, że wszyscy mieli jednakowy krój szat, takie same twarze słodkie i bez zarostu, taką samą dziewczęcą okrągłość nóg. Może się to wydać dziwnem, że nie zauważyłem tego poprzednio. Lecz wszystko tutaj było tak dziwnem!

Teraz stwierdziłem ten fakt w zupełności. Odmienności w ubiorze, wszystkich znamion w budowie i zachowaniu się, które dziś odróżniają jedną płeć od drugiej, ten lud przyszłości zgoła nie znał; dzieci zaś, w moich oczach, były tylko rodzicami w miniaturze. Przyszedłem do wniosku, że młode pokolenie przyszłości odznacza się niesłychanie przedwczesnym rozwojem, przynaj-

mniej pod względem fizycznym, a późniejsze spostrzeżenia utwierdziły mnie w tem przekonaniu.

Widząc dobrobyt i bezpieczeństwo, w którym żył ten lud, zrozumiałem, że podobieństwo płci będzie ostatecznie tem, czego oczekiwać należało; gdyż siła mężczyzny i miękkość kobiety, instytucya rodziny i różnica zatrudnień są tylko koniecznościami wojowniczymi wieku siły fizycznej. Gdy ludność jest doprowadzona do równowagi liczebnej i obfita, wielka liczba urodzeń staje się raczej klęską niż błogosławieństwem państwa; gdy gwałt zdarza się rzadko, a potomstwo jest bezpiecznem, mniej staje się potrzebną, a raczej wcale niepotrzebną już jest, rodzina płodna, i ustaje też różniczkowanie się funkcji odrębnych obu płci, ze względu na potrzeby dzieci. Początki tego widzimy już nawet w naszych czasach, a w owych wiekach przyszłych porządek taki zupełnie się już był ustalił. Mówię wam to, tak-em sobie te rzeczy wystawiał podówczas. Później dopiero poznałem jak dalece rozmijało się to z rzeczywistością.

Podczas tych rozmyślań uwagę moję zwrócił ładny budynek, podobny do studni pod kopułą. Przemknęła mi przez głowę myśl, iż istnienie studni w Przyszłości jest co najmniej dziwnem, i zacząłem dalej snuć pasmo swych przypuszczeń. Nie było większych budynków na wierzchołku wzgórza, a ponieważ widocznie mam nogi cudownie uzdolnione do chodu, po

raz pierwszy przeto znalazłem się sam. Rwałem się już do swobody i przygody i puściłem się na wierzchołek wzgórza.

Tam znalazłem ławkę z jakiegoś żółtego, nieokreślonego metalu, tu i owdzie nadżartego czerwonawą rdzą i nawpół obrosłego miękkimi mchami; poręcze miały kształt głów gryfów. Usiadłem na niej i patrzyłem na rozległy widok starego świata o zmroku tego długiego dnia. Widok był miły i piękny, taki, jakiegom nigdy w życiu nie widział. Słońce schowało się było już pod widnokrąg, a zachód oblał się świecącym złotem, które przecinało kilka poziomo idących pasów czerwieni i purpury. Poniżej była dolina Tamizy, a w niej rzeka leżała jak wstęga polerowanej stali.

Mówiłem już o olbrzymich pałacach, rozsypanych wśród bogatej zieloności, o pałacach, zarówno rozsypujących się w gruzy jak i ciągle jeszcze zamieszkiwanych. Gdzieniegdzie wznosiły się białe i srebrzyste posągi w olbrzymim ogrodzie ziemi; gdzieniegdzie wrzynała się ostra linia kopuły, lub obelisku. Nie było płotów, nie było znaków prawa własności, nie było śladów rolnictwa: cała ziemia stała się jednym ogrodem. Tak rozmyślając, pragnąłem ustalić pogląd swój na rzeczy, które oglądałem, a pogląd ten, — jak mi się przynajmniej kształtował w mym umyśle owego wieczora, — był mniej więcej taki, jaki tu wyłożę. Później przekonałem się, że odkrył

tylko połowę prawdy, a raczej, żem dostrzegł przeblysk jednej tylko płaszczyzny brylantu.

Wówczas mniemałem, żem się natknął na ludzkość już bliską upadku. Czerwony zachód słońca naprowadził mię na myśl o zachodzie słońca ludzkości. Po raz pierwszy z tych usiłowań społecznych, których my obecnie dokonywamy, zaczęły mi się snuć wnioski dziwaczne; terażniejszość jednak taka — pomyślałem — jest tylko logicznem następstwem przeszłości. Siła może być tylko dziedzictwem potrzeby; bezpieczeństwo daje w nagrodę niemoc. Praca nad ulepszeniem warunków życia — prawdziwa działalność cywilizacyjna, która czyni życie coraz-to bezpieczniejszem — wstępowała przez wieki ustawicznie na coraz wyższe szczeble; jeden tryumf zjednoczonej ludzkości nad przyrodą następował po drugim. To, co jest obecnie marzeniem, stało się projektem rozważnie ułożonym i wykonanym. I jako plon z takiego posiewu otrzymano to właśnie, na com teraz tu patrzał!

Bądź co bądź, higiena publiczna i rolnictwo doby obecnej pozostają jeszcze w stanie zaczątkowym. Wiedza naszej doby dotknęła tylko małej części obszaru chorób ludzkich; choć, coprawda, nawet w tym stanie rozszerza swą działalność ustawicznie i wytrwale. Nasze rolnictwo i ogrodnictwo tu i owdzie tępi chwasty i uprawia około jakich dwudziestu roślin użytecznych, pozostawiając innym walkę o zachowanie równo-

wagi, o ile zachować ją zdołają. Ulepszamy rośliny i zwierzęta — co prawda, ulepszamy stopniowo przez dobór; dziś nowy i lepszy gatunek brzoskwini, to znowu winogrono bez pestek, kwiat silniej pachnący i większy, lub odpowiedniejsza rasa bydła. Ulepszamy stopniowo, bo nasze ideały są równie nieokreślone, jak kuszące, a nasza wiedza bardzo ograniczona; bo wreszcie przyroda jest lękliwą i oporną w naszych niezgrabnych rękach. Kiedyś zostanie to zorganizowane lepiej, i coraz lepiej już iść będzie. Taki jest i taki utrzyma się kierunek prądu pomimo tam wszelakich. Świat cały stanie się inteligentnym, wykształconym i współdziałającym; wszystko biedz będzie coraz szybciej i szybciej do podbicia przyrody. W końcu, z rozumem i pieczołowitością, przystosujemy równowagę życia zwierzęcego i roślinnego do ludzkich swoich potrzeb.

Stosunki takie, mówię, musiały się ułożyć dobrze, ułożyć raz na zawsze w tym przeciągu czasu, przez który przeskoczyła moja machina.

Powietrze było wolne od komarów, ziemia — od chwastów i grzybów; wszędzie był owoc i słodycz i kwiat; — kwiaty wonne i rozkoszne; tu i owdzie fruwały świetne motyle. Osiągnięto ideał medycyny zapobiegawczej; chorobę wygnano. Podczas całego mojego pobytu nie widziałem zgoła oznak jakichkolwiek chorób zakaźnych. A powiem wam później, że nawet pro-

cesy gnicia i rozkładu uległy głębokim przeobrażeniom wskutek tych przemian cywilizacji.

Odniesiono też i tryumfy społeczne. Widziałem ludzkość zamieszkującą wspaniałe siedziby, pysznie odzianą, i od pierwszej chwili pobytu w krainie Przyszłości nie dostrzegłem jeszcze wcale ludzi pracujących. Nie było śladów walki, zarówno społecznej jak i ekonomicznej. Do przeszłości już należał sklep, anons, handel — cały ten merkantylizm, który stanowi ciało naszego świata.

W ciszy złotego wieczora było to zupełnie naturalnem, żem aż w górę podskoczył na samą myśl o raju społecznym. Dorozumiewałem się, że poradzono sobie z tą przeszkodą, jaką jest zwiększanie się ludności, i ludność też wzrastać przestała.

Lecz wraz ze zmianą warunków przychodzi też i nieuchronne przystosowanie się do zmiany. Jeżeli wiedza biologiczna nie jest jedną kupą błędów, ze stanowiska jej zapytujemy: co jedynie może podniecać inteligencję i energię człowieka? Znoj i wolność — warunki, w których człowiek czynny, silny i rozważny ostaje się, a słabszy ginie; warunki, które wynagradzają prawe współdziałanie ludzi zdolnych, wynagradzają panowanie nad sobą, cierpliwość i stanowczość. A instytucja rodziny, i wszystkie te uczucia, które w niej i z niej powstają, dzika zażdrość, troska o potomstwo, poświęcenie rodzi-

dziców — wszystko to znajduje swe usprawiedliwienie i poparcie w niebezpieczeństwach grożących młodemu pokoleniu. — *Teraz*, gdzie są te grożące niebezpieczeństwa? Powstało i rośnie ciągle nowe całkiem uczucie: przeciwko zazdrości małżeńskiej, przeciwko szalejącemu macierzyństwu, przeciwko namiętności wszelkiego rodzaju; wszystkie te rzeczy są *teraz* już zbyt częste. — sprzeczne z potrzebami wygodnego życia: przeżytki dzikie, dysonanse w bycie wykwiśniętym i przyjemnym.

Pomyślałem sobie o drobności fizycznej ludu, o jego słabej inteligencji, o tych ogromnych, a tak licznych ruinach: i przypomnienie to potwierdziło tylko wiarę moją w doskonałe już podbite przyrody przez owego człowieka przyszłości. Bo po walce następuje spokój. Ludzkość była dawniej silną, energiczną, inteligentną i użyła swej bujnej żywotności do zmieniania warunków, w których żyła. I teraz oto nastąpiło właśnie oddziaływanie tych już zmienionych warunków.

W nowych warunkach doskonałej wygody i bezpieczeństwa ta niestrudzona energia, która w nas jest siłą, staje się słabością. Nawet w naszych czasach pewne dążności i pożądanja, niegdyś konieczne do utrzymania, bywają stałym źródłem niepowodzeń. Odwaga fizyczna i zamiłowanie walki, naprzykład, niewielką są pomocą; mogą nawet stać się przeszkodą dla człowieka cywilizowanego: a w stanie równo-

wagi fizycznej i bezpieczeństwa, siła, zarówno intelektualna jak i fizyczna, nie jest już na miejscu. Od niezliczonych już lat — myślałem sobie — nie było tu ani grozy wojny, ani gwałtu jednostki; nie było też niebezpieczeństwa ze strony dzikich zwierząt; nie było choroby niszczącej, od której istoty ludzkie musiałyby się bronić silną budową; nie było wreszcie potrzeby pracy. Do takiego życia ci, których nazywamy słabymi, są również dobrze przystosowani jak silni; słabi już nie są rzeczywiście słabymi — co więcej, mogą nawet jeszcze lepiej się przystosowywać, silnych bowiem zużywa ta energia, dla której nie znajdują ujścia. Bez wątpienia, wyszukana piękność budynków, na które patrzyłem, była wynikiem ostatnich wysiłków energii już bezcelowej, dopóki ludzkość nie zżyła się w doskonałej zgodzie z warunkami życia — z tym rozkwitem, który nastąpił po ostatnim wielkim pokoju. Taki los spotykał zawsze energię w bezpieczeństwie: zwracała się ona do sztuki i erotyzmu, a po nich znowu zawsze przychodziło omdlenie i rozkład.

Nawet ten rozpęd artystyczny ostatecznie już obumierał, — całkiem już nawet zamarł był w czasach, na które patrzyłem. Ustroić się w kwiaty, potańczyć, pośpiewać w świetle słonecznym: tyle tylko pozostało z ducha artystycznego, — nic więcej. I to nawet ostatecznie zwiędnie w zadowolonej z siebie bezczynności. My, ludzie, ostrzyjemy się na kamieniu szlifierskim bólu i ko-

nieczności; a ja doznawałem właśnie takiego wrażenia, jakgdyby ten nienawistny kamień tutaj nareszcie skruszonym został!

Gdy tak stałem przy zapadającym coraz bardziej zmierzchu, zdawało mi się, że w tem prostem objaśnieniu pochwycił zagadkę świata— pochwycił całą tajemnicę tego rozkosznie żyjącego ludu. Prawdopodobnie środki, jakich użyli przeciw wzrastaniu ludności, były aż nadto skuteczne, i zaludnienie raczej się zmniejszało, niż utrzymywało w mierze. To nam tłumaczy istnienie tych opuszczonych ruin. — Bardzo proste było moje tłumaczenie i chyba łatwe do przyjęcia. Taką jest większość teorii opartych na błędzie.

VII.

Nagły cios.

Gdy tak stałem, rozmyślając o tym nazbyt doskonałym tryumfie człowieka, księżyc w pełni, żółty i wypukły, wzeszedł na północo-wschodzie, a wkrótce potem lał już w przestwór strumienie srebrzystego światła. Jaskrawe drobne figurki przestały się uwijać tam w dole; przeleciała milcząca sowa; chłód nocy przejmował mnie dreszczem: postanowiłem zejść i poszukać miejsca na nocleg.

Spojrzałem na znany mi już budynek. Następnie wzrok mój powędrował ku postaci sfinksa białego na brązowym piedestale; posąg stawał się coraz wyraźniejszym, w miarę jak rozjaśniało się światło wschodzącego księżyca. Widziałem srebrną brzozę obok niego. Spostrzegłem kępę krzaków rododendronów, w bladym świetle ciemną, i mały trawnik, na który jeszcze raz się obejrzałem. — Dziwny niepokój zmroził pogodę

mego umysłu. — Nie — powiedziałem sobie śmiało — to nie jest trawnik.

A jednak to był trawnik! Biała, trędowata twarz sfinksa zwrócona była ku niemu. Czy wystawicie sobie czego naraz doznałem? Nie, nie zdołacie sobie wyobrazić. — Moja Machina Czasu przepadła!

Nagle, jakby mi dłoń niewidzialna a potężna wymierzyła policzek, na umysł mój spadła ćma myśli: a możeś ty na zawsze utracił ten świat, któryś tam zestawił, i tak bez ratunku, już pozostaniesz w tym nowym, tak dziwnym, tajemniczym świecie... Sama myśl o tem sprawiała mi prawdziwie uczucie fizycznego bólu; czułem, że chwyta mnie za gardło i dusi. Po chwili ogarnęła mnie namiętność strachu; biegłem po pochyłości, w wielkich susach i podskokach. Raz upadłem jak długi, podrapałem sobie twarz, pokaleczyłem się, alem nie tracił czasu na łamowanie krwi, skakałem i biegłem, wciąż czując ciepłą strugę na twarzy i podbródku. Przez cały czas mówiłem sobie: — «Odsunęli ją cokolwiek, zepchnęli w krzaki na ścieżkę». — Biedz jednak nie przestawałem i biegłem co sił starczyło. — Przez cały ten czas przekonany będąc, że nastąpi coś strasznego; teraz już wiedziałem, że owo pocieszenie się nadzieją jest niedorzeczne. Instynktownie czułem, że mam machinę moją raz na zawsze utracił. Oddychałem z trudnością. Przypuszczam, że całą odległość od wier-

chołka wzgórza do trawnika, jakie dwie mile angielskie, przebiegłem może w dziesięć minut: a przecież nie jestem już młodym. Biegając, głośno kląłem tę swoją szaloną ufność i traciłem oddech od krzyku. Krzyczałem głośno, lecz nikt nie odpowiadał. Żadna żywa istota nie zaszemrała nawet w tym świecie, oświeconym przez księżyc.

Gdy dobiegłem do trawnika, ziściły się moje najgorsze obawy. Machiny — ani śladu! Zrobiło mi się słabo i zimno, gdym spojrzał na pustą przestrzeń wśród ciemnych zarośli rododendronów. Z wściekłością biegałem dookoła, jakgdyby szukając machiny gdzieś, w czarnej gęstwinie krzaków, albo też przystawałem nagle, w szale rwąc sobie włosy. Nade mną wznosił się sfinks na brązowym piedestale, biały, jaśniejący, trędowaty, w uroczym świetle księżycy; wyglądał tak, jakby się uśmiechał, szydząc z mojego nieszczęścia.

Mogłem się być pocieszyć tem, że może mali ludzie umyślnie schowali dla mnie mój mechanizm, gdybym nie był przekonany o ich nieudolności fizycznej i umysłowej. To mnie właśnie martwiło: więc jest jakaś potęga, której nie domyślałem się nawet dotąd, a która przecież przyprawiła mnie o utratę mego wynalazku! Tego jednego tylko byłem pewny: na tym tu drugim świecie zrobiono może dokładny wtórot maszyny, ale ona sama nie mogła poruszyć się w czasie. Sposób przymocowania dźwigni —

później pokażę wam jaką metodą — zapobiegał puszczaniu jej w ruch, po raz już spełnionem odjęciu tych dźwigni... Ruszono ją jednak z miejsca, ukryto... tylko gdzie, gdzie?

Sądzę, że mnie szła konwulsyjny ogarnąć musiał. Pamiętam, że biegałem gwałtownie w jedną i drugą stronę dookoła sfinksa, pomiędzy drzewami oświetlonymi przez księżyc, i spłoszyłem jakieś białe zwierzę, które w ciemnościach wziąłem za małego jelonka lub sarnę. Pamiętam również, że podczas tej nocy waliłem w krzaki zaciśniętymi pięściami, ażem sobie dłonie podrapał do krwi — istotnie, krwawiły się od łamanych gałęzi.

Po tem wszystkim, łkając i szalejąc z rozpaczy, dopadłem do dużego budynku z kamienia.

Wielka sala była ciemną, cichą i opuszczoną. Pośliznąłem się na nierównej podłodze i upadłem na stół malachitowy, silnie tłukąc sobie udo. Zapaliłem zapalną. Szedłem dalej, aż znalazłem się za ową zakurzoną zasłoną, o której już mówiłem poprzednio.

Stamtąd wszedłem do drugiej wielkiej sali, zasłanej poduszkami, na których spało około dwudziestu może małych ludzi. Nie ulega żadnej wątpliwości, że moje powtórne zjawienie się przejęło ich podziwem, nagle bowiem ze spokojnej ciemności zrywali się, wydając bezmyślne głosy, dziwiąc się przytem trzaskowi i światłu zapalniczki; zapomnieli już bowiem użycia zapalek.

— Gdzie moja Machina Czasu? — wrzeszczałem jak rozłoszczone dziecko, szarpiąc ich rękami, wstrząsając jednego po drugim.

Musieli patrzeć na mnie jak na waryata. Niektórzy śmieli się, inni spoglądali z bolesnem przerażeniem. Otoczyli mnie kołem. Wpatrywałem się w nich już teraz spokojniej; wróciła mi rozwaga: poznałem, że postępuję jak głupiec, jak tylko można najgorzej w danych warunkach, gdy tak staram się obudzić w nich uczucie strachu; wnioskując bowiem z ich zachowania się w ciągu dnia, powinienem był wiedzieć, że przecież musieli już zapomnieć co to strach.

Nagle rzuciłem zapalkę i, potrącając jednego z nich w biegu, wpadłem na oślep z powrotem do sali jadalnej i wybiegłem na światło księżyca. Usłyszałem za sobą głosy przerażenia i szybkie stąpanie drobnych nóżek; biegali na wszystkie strony. Nie przypominam sobie już com robił, gdy księżyc wzbiał się już wysoko na niebo. Przypuszczam, że nieprzewidywana strata — strata jedyna w swym rodzaju — doprowadziła mnie do szaleństwa. Czułem, że jestem bez nadziei odciętym od mego własnego rodzaju, że jestem dziwnem jakimś zwierzęciem w kraju nieznanym. Miotałem się ustawicznie, krzycząc i wyrzekając głośno na Boga i przeznaczenie. Pozostało mi wspomnienie strasznego znużenia w ciągu tej długiej nocy, spędzonej w zgryzocie; zapamiętałem żywo jak-em patrzył to w jedną, to w drugą stronę,

jak-em pełzał wśród ruin oświetlonych przez księżyc, natykał się na te dziwne jakieś istoty w czarnym cieniu. Wreszcie, gdy się położył na trawie niedaleko sfinksa, zapłakałem w ostatniej rozpaczy, a nawet w gniewie nad własną głupotą: jak mogłem tak porzucać maszynę, a wraz z nią całą siłę swoją! Nic mi nie pozostało, prócz nędzy.

Potem usnąłem, a gdy się przebudziłem, dzień już był jasny i para wróbli podskakiwała na trawie koło mnie; mogłem ich dosięgnąć ramieniem.

Podniosłem się, czując świeżość poranku, starając się przypomnieć sobie, jak się tu dostałem i dlaczego odczuwam tak silnie opuszczenie i rozpacz. Wszystko wreszcie stało mi jasno w umyśle. W pełnym, otrzeźwiającem świetle dniem mogłem już odważnie spojrzeć w oblicze temu położeniu, w jakim się znalazłem. Spostrzegłem teraz szalony nierozum swój w tej ubiegłej nocy; mogłem już rozmawiać sam z sobą. Przypuśćmy co może być najgorszego — rzekłem — przypuśćmy, że maszyna przepadła, może została zniszczoną... Wypada być spokojnym, cierpliwym, obeznac się ze zwyczajami ludu, dowiedzieć się w jaki sposób poniosłem stratę, przekonać się, czybym nie mógł dostać potrzebnych materiałów i narzędzi dla zrobienia sobie już w ostateczności nowego zupełnie okazu? Niechże to będzie moją jedyną nadzieją; licha to nadzieja, co prawda, ale w każdym razie lep-

sza od rozpaczy. A wreszcie, koniec końców, miałem przed sobą świat piękny i ciekawy. Lecz prawdopodobnie machina była tylko gdzieś schowaną. Zawsze powinienem być spokojnym i cierpliwym, odnaleźć miejsce jej ukrycia i odzyskać ją siłą lub podstępem.

Z tą myślą podniosłem się i zacząłem upatrywać miejsca, gdzie-bym się mógł wykapać. Czułem się zmęczonym, odrętwiałym, zabrudzonym od kurzu w podróży. Świeżość poranku wzbudziła we mnie chęć również osobistego odświeżenia się. Wzburzenie moje minęło. Rzeczywiście, gdym się lepiej zastanowił, sam dziwiłem się szczególnemu podnieceniu swemu w nocy. Starannie zbadałem grunt koło trawnika. Straciłem trochę czasu na próżne zapytania, z jakimi się zwracałem, o ile mogłem, do przechodzących drobnych ludzi. Nie rozumieli mojej mimiki; niektórzy poprostu milczeli; inni sądzili, że to żart, i śmieli się ze mnie. Miałem jedno z najtrudniejszych na świecie zadań: musiałem powstrzymać ręce, rwące się do ich ślicznych, uśmiechnionych twarzyczek. Był to popęd waryacki; lecz licho zrodzone ze ślepego strachu i gniewu z trudnością daje się okiełznać i chciwie też chciało i teraz skorzystać z miotającego mną niepokoju.

Lepszą radę dała darń. Znalazłem na niej bródzde w środku drogi od piedestału sfinksa do śladów stóp moich, gdzie zaraz po przybyciu

pasowałem się był z wywróconą moją machiną. Były inne jeszcze ślady usunięcia przyrządu: dziwnie wązkie, drobne odciski stóp, podobne do tych, jakie mógłby pozostawić po sobie chyba leniwiec, — on bowiem na myśl mi przyszedł. To skierowało moją najbliższą uwagę na piedestał.

Zdaje mi się, już wam mówiłem, że piedestał był z brązu. Nie była to naga tylko bryła; na wszystkich bokach zdobiły ją głęboko rzeźbione pola. Podeszedłem bliżej i uderzyłem w jeden bok: piedestał był wewnątrz pusty. Przyglądając się starannie tablicom, przekonałem się, że nie tworzą one jednej całości z ramionami piedestału. Nie było w nich rączek ani dziurek od kluczków i jeżeli tablice te istotnie były drzwiczkami, mogły się otwierać tylko od wewnątrz. Jedno już teraz było dla mnie dostatecznie jasnym: nie potrzebowałem wielkiego wysiłku umysłowego, żeby przypuścić, iż moja Machina Czasu znajdowała się wewnątrz piedestału. Inna sprawa: jak się tam dostała?

Spostrzegłem głowy dwóch ludzi, ubranych pomarańczowo, którzy zbliżali się ku mnie przez zarośla pod jabłoniemi, okrytymi kwieciem. Zwróciłem się do nich z uśmiechem i kiwnąłem na nich: podeszli. Wskazując piedestał, starałem się wyłożyć im swe żądanie, aby mi go otworzyli. Lecz ludzie owi po pierwszym moim ru-

chu zachowali się w prawdziwie dziwny sposób. Nie wiem już jakim wyrazem mam określić ich miny. Przypuście, żeście użyli wysoko nieprzyzwoitego gestu wobec kobiety z delikatnym umysłem: będziecie mieli to, na co ja patrzałem. Odeszli, jakby ich spotkała najwyższa obraza. Zupełnie z takim samym skutkiem zapytałem później miłego jakiegoś chłopczyka w białym stroju. Do pewnego stopnia jego zachowanie się mnie samemu kazało się wstydić. Lecz, jak wiecie, potrzebo wałem koniecznie Machiny Czasu: spróbowałem raz jeszcze go zapytać. Gdy się odwrócił jak inni, straciłem cierpliwość. W trzech susach znalazłem się koło niego, schwyciłem go za kark i zacząłem ciągnąć do sfinksa. Spojrzałem mu w twarz: było na niej przerażenie z odrazą. Puściłem go wolno.

Nie uznawałem się jednak za pobitego. Waliłem pięściami w tablicę brązową. Sądziłem, że słyszę wewnątrz jakiś szmer — żeby się wyrazić jasno — sądziłem, że słyszę dźwięki jakieś podobne do chichotu; lecz musiałem się mylić. Wziąłem duży kamień z nad rzeki, wróciłem i dopóty kułem nim w podstawę, dopóki nie spłaszczyłem wypukłości w ornamentach. Śniedź z tablicy rozlatywała się w kłaczkach. Drobnny ludek musiał słyszeć w odległości dwóch mil angielskich z każdej strony jak kułem, uderzając gwałtownie, lecz nikt nie nadchodził. Całą gro-

madę ich widziałem na pochyłości pagórka; spoglądali na mnie lękliwie, ukradkiem. Wreszcie, zmęczony, zziębnięty, usiadłem, chcąc już pilnować tego miejsca. Lecz zanadto byłem niespokojny, aby to mogło trwać długo; na wszelkie długie czuwanie za wiele mam w sobie zachodowca. Mogę lata całe pracować nad jednym zagadnieniem; ale co innego czekać dwadzieścia cztery godziny beczynnje.

Po upływie pewnego czasu odszedłem i zacząłem bez celu przechadzać się po zaroślach w kierunku pagórka. — «Cierpliwości — rzekłem do siebie. — Jeżeli chcesz odzyskać maszynę, powinieneś pozostawić sfinksa w spokoju. Jeżeli ci ją wydrzeć myślą, nie dobrze jest psuć im tablice brązowe, jeżeli zaś nie myślą, to ci ją zwrócą, jak tylko będziesz umiał się o nią zapytać. Zatapanie się w te wszystkie nieznanne rzeczy wobec takiej łamigłówki, jak ta, wytwarza tylko stan bez nadziei. Na tej drodze leży monomania. Wyrozumiej ten świat. Poznaj jego obyczaje, patrz w niego, wystrzegaj się zbyt pośpiesznych wniosków. W końcu znajdziesz klucz do wszystkiego».

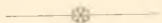
Nagle stanęła mi przed oczyma cała śmieszność mojego położenia: myśl o latach, jakie spędziłem na badaniu i pracy, ażeby tylko znaleźć się kiedyś w przyszłości, i obecna moja gwałtowna chęć i niepokój, jak się z niej wydostać.

Urządziłem sam na siebie jaknajbardziej złożoną a beznadziejną pułapkę, jaką kiedykolwiek człowiek wymyślił. A chociaż sam wszystko zrobiłem, sam już niczego odrobić nie zdołałem. I zacząłem się śmiać na całe gardło.

Przechodząc przez ogromny pałac, zauważyłem, że mnie mały ludek unika. Może tak tylko sobie wyobrażałem, a może miało to pewien związek z mojem szturmowaniem do bronzowych wrót. W każdym razie byłem dosyć pewny, że mnie unikają; starałem się jednak nie zwracać na to uwagi, i w ciągu dnia lub dwóch wszystko powróciło do dawnego porządku. Czyniłem takie postępy w ich mowie, na jakie tylko stać mnie było, a nadto prowadziłem tu i owdzie przedsięwzięte badania. Co się tycze nauki języka, może być, że nie pojął jej subtelności, a może też język ten odznaczał się nadmierną prostotą — prawie wyłącznie składał się z rzeczowników konkretnych i czasowników. Prawdopodobnie mało w nim było, — jeżeli wogóle były — określników na pojęcia oderwane. Również rzadko mówili w przenośniach. Mowa ich miała w zasadzie zdania proste, z dwóch nawet wyrazów, i nie udawało mi się też wyrazić lub pojąć nic, oprócz zdań najprostszych. Postanowiłem myśl o Machinie Czasu i tajemnicę drzwi bronzowych pod sfinksem ukryć w głębokim zakątku pamięci, aż dopóki rosnąca moja

wiedza nie doprowadzi mię napowrót do nich w sposób już naturalny.

Przy tem wszystkim, jak łatwo zrozumieć, doświadczałem uczucia, które trzymało mnie wciąż na uwięzi w promieniu paru mil od miejsca mojego przybycia.



VIII.

Wyjaśnienie.

O ile mogłem zauważyć, na całym świecie był taki sam bujny rozkwit, jak w dolinie Tamizy. Z każdego pagórka, na jaki wszedłem, widziałem taką samą obfitość wspaniałych budowli, urozmaiconych do nieskończoności pod względem stylu i materiału; takie same kępy drzew wiecznie zielonych, takie same drzewa, obciążone kwieciami i paprocie wyolbrzymiały w drzewa. Tu i owdzie błyszczała woda jak srebro, a dalej łąd podnosił się w faliste niebieskawe pagórki i zlewał się w pewnej odległości z błękitem nieba.

Szczegółem, który mnie teraz przed innymi zaciekał, były osobliwszego rodzaju studnie okrągłe; niektóre z nich, jak mi się zdawało, dosięgały znacznych głębokości. Jedna leżała przy ścieżce, wiodącej na wzgórze, tej samej, którą szedłem w pierwszej mojej wędrówce. Jak i inne,

studnia ta była okuta bronzem, misternie wykończona i osłonięta niewielką kopułą od deszczu. Siedząc przy takiej studni i patrząc w czarną otchłań, nie dostrzegłem wcale odbłasku wody, nie mogłem też spostrzedz światła odbijającego się od zapałki. Lecz we wszystkich słyszałem szczególniejszy łoskot, jakby odgłos wielkiej jakiej maszyny; a po płomieniu zapałki poznałem, że w te szyby wpływał stały prąd powietrza. Później w gardziel jednej studni rzuciłem skrawek papieru: nie spadł spokojnie na dół, lecz zniknął szybko, porwany przez wlatujące w głąb powietrze.

Po pewnym czasie zauważyłem pewną łączność tych studni z wysokimi wieżami, które tu i owdzie stały na pochyłościach wzgórz; powietrze drgało nad nimi tak samo w ciągłym falowaniu jak nad wystawionemi na słońce brzegami wód w dzień upalny. Z zestawienia tych dwu okoliczności wyprowadziłem poważny wniosek o rozległym systemacie wentylacji podziemnej, której prawdziwego znaczenia wszakże trudno się było domyślić. Z początku gotów byłem widzieć w tem pewien związek z urządzeniami sanitarnemi tego ludu. Wniosek taki nastroczał się sam przez się, był jednak zupełnie mylny.

Muszę to przyznać, że bardzo mało poznałem kanały, rury podziemne i środki komunikacyi, oraz inne udogodnienia w ciągu mego pobytu na

tym realnym świecie. W niektórych wizjach Utopii, w widzeniach obiecywanej Przyszłości, które czytałem, jest sporo szczegółów o budowlach, instytucjach społecznych i t. p. Nie trudno o nie, gdy się ma świat cały w swojej tylko wyobraźni; ale są one wręcz nieprzystępne dla rzeczywistego podróżnika pośród takich rzeczywistości, jakie ja tutaj spotykałem. Wyobraźmy sobie opowiadanie o Londynie, jakie powiezie z sobą do swego plemienia Murzyn świeżo przybyły z Afryki środkowej! Czego on się dowie o towarzystwach kolei żelaznych, o ruchu społecznym, o drutach telefonowych i telegraficznych, o towarzystwach sprzedaży gruntu na raty, o urządzeniu poczt i t. p., chociaż nam samym nie braknie chyba dobrej woli do wytłómaczenia mu tego wszystkiego? A nawet z tego, co rzeczywiście poznał, czy też wiele się nauczą odeń lub bardzo mu uwierzą jego przyjaciele i ziomkowie, którzy podróży z nim razem nie odbyli? Pomyślcie teraz, jak wązki jest pas oddzielający Murzyna od Białego w czasach obecnych i jak szeroka była przepaść pomiędzy mną a ludźmi Złotego Wieku!

Byłem wrażliwy na wiele rzeczy niewidzialnych, które służyły ku mojej wygodzie; lecz, pomijając wrażenie ogólne organizacyi automatycznej, obawiam się, że bardzo niewiele tylko różnic będę mógł umysłem waszym pod rozpoznanie poddać.

Naprzykład, w kwestyi grzebania zmarłych, nie mogłem dostrzedz żadnych oznak krematoryów, ani też czegoś podobnego do grobów. Wpadałem na myśl, że może cmentarze (lub krematoria) są gdzieś poza obrębem moich poszukiwań. Pytanie to zadawałem sobie z całą rozważą, a ciekawość moja w pierwszej chwili doznała zupełnego zawodu. Sprawa ta wprowadziła mnie w podziw, i byłem zmuszony do zrobienia dalszej uwagi, która mnie zdziwiła jeszcze bardziej: mianowicie, że wśród tego ludu nie było starców, ani kalek, ani złożonych niemocą.

Muszę przyznać, że niedługo się zadawałem najpierwszem owem mniemaniem o cywilizacyi automatycznej i ludzkości upadającej; a jednak nie byłem zdolny myśleć inaczej. Pozwólcie mi tu wyłożyć napotkane trudności.

Kilka większych pałaców, które poznałem, były tylko mieszkaniem, wielkimi stołowniami i sypialniami. Ani mechanizmu, ani urządzenia jakiegobądź rodzaju, nie dostrzegłem. A przecież ludzie ci ubierali się w ładne tkaniny, które co pewien czas musiały być sprawiane na nowo, sandały ich zaś, jakkolwiek pozbawione ozdób, były misternemi okazami wyrobów metalowych. Te rzeczy musiały być gdzieś robione, a mały lud nie objawiał ani cienia dążności wytwórczych: nie miał ani sklepów, ani pracowni przemysłowych ani też urzędzeń, któreby wskazywały dowóz z zewnątrz. Cały swój czas spędzali

ci ludzie na miłej zabawie, na kąpaniu się w rzece, na półzartobliwych romansach, na spożywaniu owoców i—na spaniu. Nie mogłem zgoła dopatrzeć, jaki bieg miały u nich sprawy ekonomiczne.

A teraz, co się tycze Machiny Czasu: ktoś, nie wiem kto, schował ją do pustego piedestału białego sfinksa. *Po co?* Nie dojdę tego nawet za cenę życia. Dalej, te studnie bezwodne, te dziwne kolumny. Czułem, że tracę wątek. — Czułem — jak to powiedzieć?.. Przypuśćcie, żeście znaleźli napis, w którym tu i owdzie są zdania w dobrej angielszczyźnie, a wśród nich umieszczone inne, składające się z wyrazów, z liter nawet, zupełnie wam nieznanych.

Tak mi się tedy przedstawiał świat z roku 802701.

W dniu owym przypadkowo pozyskałem przyjaciela osobliwszego rodzaju. Zdarzyło się, że m się przypatrywał małemu ludowi, gdy się kąpał na mieliźnie; jedno z nich dostało kurczów i prąd rzeki porwał je i uniósł. Prąd był szybki, lecz nie nazbyt silny, nawet dla pływaka średniej siły. Da wam to pojęcie o szczególnem niedołęztwie tych ludzi, gdy wam powiem, że nikt nie zrobił najmniejszego wysiłku dla ratowania drobnej istoty, która tonęła w ich oczach. Spostrzegłszy to, szybko zrzuciłem ubranie, przebiegłem wbród do pewnego punktu poniżej prądu, pochwyciłem biednego robaka i bezpiecznie

wyniosłem go na ład. Była to kobieta. Rozcieranie ciała, co nawet nie trwało długo, szybko powróciło jej przytomność, i z zadowoleniem zobaczyłem, iż przyszła do siebie jeszcze przed mojem odejściem. Miałem o nich wszystkich tak niepochlebne wyobrażenie, żem się nawet wcale nie spodziewał wdzięczności. Pod tym względem wszakże myliłem się.

Wypadek wydarzył się rano. Po południu znowu spotkałem małą kobietkę, jak przypominam sobie, gdy powracałem z wycieczki rozpoznawczej do głównej swej kwatery. Powitała mnie okrzykami zadowolenia i obdarzyła dużą girlandą kwiatów — widocznie zrobioną dla mnie. Uderzyło to moją wyobraźnię. Bardzo być może, iż nie czułem się uszczęśliwionym; w każdym razie zrobiłem wszystko, co można, aby okazać, ile sobie cenię podarek. Niedługo potem siedzieliśmy razem na małej ławeczce kamiennej, zajęci rozmową, składającą się głównie z uśmiechów. Przyjaźń tej istoty wyrażała się tak, jakby uczucia swe mogło wyrazić dziecko. Dawaliśmy sobie wzajemnie kwiaty, a ona całowała mi rękę. Ja robiłem to samo z jej rękami. Następnie próbowałem rozmawiać i dowiedziałem się, że ma na imię «Uina» imię, które wydało mi się dla niej stosownem, chociaż nie wiedziałem, co znaczy. Taki był początek dziwnej przyjaźni, która trwała tydzień, a jak się zakończyła — opowiem!

Była zupełnie dziecinną. Wszędzie chciała być razem ze mną, wszędzie za mną chodzić; a gdy podczas najpierwszej potem wycieczki ja chciałem zmęczyć ją chodzeniem, pozostawić w tyle i porzucić, to, wyczerpana z sił, wołała za mną żałośnie. Należało przecież raz już opanować zagadki tego nieznanego świata. Powiedziałem sobie, że nie po to dostałem się w Przyszłość, aby prowadzić flirt w miniaturze.

Z tem wszystkiem wielki był jej smutek, ilekroć ją porzucałem na drodze; niekiedy nawet z rozpaczą wyrażała mi swe żale przy pożegnaniu, tak, iż sądzę, że miałem tyle niepokoju, ile zadowolenia, z jej przywiązania; niemniej jednak była dla mnie prawdziwie wielkiem pokrzepieniem. Sądzę, że przylgnęła do mnie czysto dziecinnem przywiązaniem. Dopiero poniewczasie poznałem, jaką każdym rozstaniem się sprawiałem jej przykrość, i wtedy też dopiero pojąłem jasno czem była dla mnie, gdy już było zapóźno. Bo przy pozorach czułości, okazując, na swój błahy sposób, troskę o mnie, mała lalczka ożywiona sprawiała swem przywiązaniem to, że, gdym wracał w sąsiedztwo białego sfinksa, doznawałem takiego uczucia, jakbym do domu swego powracał. Zaledwie zeszedłem z pagórka, wyczekiwałem już jej drobnej postaci, w biel i złoto przyrodzianej.

Od niej także dowiedziałem się, że przestach nie porzucił jeszcze tego świata przyszło-

ści. Była dość odważną we dnie i pokładała we mnie zadziwiającą ufność. Raz, żartując sobie, zrobiłem groźną minę, a ona wręcz roześmiała mi się w oczy. Lecz obawiała się ciemności, obawiała się mroku, obawiała się rzeczy czarnych. Ciemność była dla niej jedynym przedmiotem strachu. Było to szczególnie silne wzruszenie i zniewoliło mnie do rozmyślań i postrzeżeń. Poznałem, pomiędzy innemi, że ten mały ludek po zmroku zbiera się do dużych domów i śpi gromadnie. Gdy się wchodziło do nich bez światła, wtrącało się ich w zamęt i przerażenie. Po zmroku nigdy nie spotkałem nikogo; nikt nie chodził po dworze, nie spał przed domem. Zawsze jednak byłem tak nierozsądnym, że zapominałem o tej lekcyi strachu i upierałem się na przekór zgryzotom Uiny, aby spać zdala od tego rozspanego tłumu. Martwiło ją to bardzo, lecz w końcu jej dziwne przywiązanie do mnie wzięło górę i w ciągu pięciu nocy naszej znajomości, licząc w to noc ostatnią, spała, oparłszy głowę na mem ramieniu.

Lecz gdy tak się nią zajmuję, własne moje dzieje dopominają się już opowieści. Musiała to być noc przed jej wyratowaniem, kiedy się obudziłem o świcie. Byłem niespokojny, miałem sny bardzo przykre; śniło mi się, że tonę i że anemony morskie chodzą mi po twarzy, obmacując ją miękkimi swemi czułkami. Zerwałem się ze snu w dziwnem przypuszczeniu,

że jakieś szarawe zwierzę w tej chwili wybiegło z pokoju. Próbowałem zasnąć na nowo, lecz czułem niepokój i udręczenie. Była to godzina brzasku dnia, kiedy różne rzeczy wypełzują z mroku, kiedy wszystko jest bezbarwne i ostro się odrzyna, a nic nie daje się oku w prawdzie swej pochwycić. Wstałem i wstąpiłem w progi wielkiej sali, a następnie wyszedłem na kamienny taras przed pałacem. Przyszła mi myśl, żeby spełnić cnotę z konieczności i zobaczyć wschód słońca.

Księżyc zachodził, a zamierające jego światło i pierwsza bladość brzasku mieszały się w ponure półświatlenie. Krzewy były czarne jak atrament, łąka ciemno-szara, a niebo bezbarwne, smutne. I zdało mi się, że na pagórku widzę duchy. Po trzykroć, gdy się wpatrywałem w pochyłość pagórka, widziałem białe postacie. Dwukrotnie dostrzegłem pojedynczą, białą istotę podobną do mały, jak szybko biegła na wierzchołek wzgórza, a raz około siebie ujrzałem kilka ich w gromadzie jak niosły czarny jakiś przedmiot. Oddaliły się z pośpiechem. Nie wiedziałem co się z nimi stało; prawdopodobnie znikły w krzakach. Pamiętajcie, że dopiero się rozwidniało. Ogarnęło mię owo mrozące, nieokreślone uczucie wczesnego poranku, które musicie znać dobrze. Oczom własnym nie wierzyłem.

Gdy niebo na wschodzie się rozjaśniło, gdy powróciło światło dnia i świat odzyskał napo-

wrót żywe swe barwy, przyjrzałem się bacznie okolicy. Nie spostrzegłem ani śladu białych postaci. Były widać istotami półmroku.—Musiały to być duchy — rzekłem do siebie — nie wiem, skąd się biorą. Przyszedł mi do głowy dziwny pomysł Granta Allen'a i ubawił mnie na razie. Allen dowodził, że jeżeli każde pokolenie, umierając, zostawia po sobie swe duchy, to w końcu przepełnią one świat. Podług tej teorii przybyła ich nieskończona ilość od przeszło ośmiuset tysięcy lat, nic przeto dziwnego, że zobaczyłem ich aż cztery naraz — lecz zadowolniłem się tym żartem i myślałem o tych postaciach całe rano, dopóki uratowanie Uiny nie usunęło ich z mej myśli. W nieokreślony sposób pojęcie o nich łączyłem z owym zwierzem białym, którego spłoszyłem był podczas pierwszego gwałtownego poszukiwania Machiny Czasu... Uina była miłym darem, otrzymanym wzamian za to, com utracił. Istotom owym przeznaczone było wkrótce okrutniej umysłem moim zawładnąć.

Zdaje się, że już mówiłem, o ile cieplej niż obecnie było w owym wieku złotym. Nie umiem sobie z tego zdać sprawy. Być może, że słońce było gorętsze, lub ziemia krążyła bliżej słońca. Powszechnem jest przypuszczenie, że słońce będzie stale coraz-to bardziej stygło w przyszłości. Wszakże ludzie nieobznajomieni z tego rodzaju teoryami jak Darwina młodszego zapominają, że planety muszą wreszcie jedna po drugiej spa-

dać na macierzyste swe ciała niebieskie. Gdy się zdarzy taka katastrofa, słońce zacznie świecić ze wznowioną energią; być może, że któraś z planet wewnętrznych uległa już temu losowi przed mojem zawitaniem do świata Przyszłości. Ale z jakiegokolwiek bądź przyczyny, dość, że słońce było daleko gorętsze, niż obecnie.

I tak, podczas gorącego poranku, piątego dnia, jak sądzę, gdy szukałem osłony przed żarem i upałem w ogromnych ruinach około wielkiego domu, w którym jadałem i sypiałem, spotkałem dziwną istotę. Gdym się wdrapywał na urwisko murów, spostrzegłem wążki loch, którego głąb' i okna boczne były zasypane spadającym gruzem. Z początku wydawało się tam nieprzenikliwie ciemno wskutek przeciwieństwa z jasno oświetlonym widokiem zewnętrznym. Wszedłem ostrożnie, krok za krokiem, bo wskutek przejścia ze światła do ciemności przed oczyma migały mi barwne plamy. Nagle stanąłem jak wryty. Para oczu błyszczących od odbłysku światła zewnętrznego goniła mnie w ciemnościach.

Owładnęła mną stara, instynktowna trwoga, jaką nas przejmuje zwierz dziki. Zacisnąłem pięści i patrzałem prosto w iskrzące się ślepie. Bałem się obrócić. Następnie przyszła mi do głowy myśl o owem zupełnem bezpieczeństwie, w jakim zdawała się żyć ludzkość. Przypomniałem sobie wówczas dziwną obawę ciemności, jakiej

lud ten ulega. Zapanowawszy do pewnego stopnia nad strachem, postąpiłem krok naprzód i przemówiłem. Przypuszczam, że głos mój był twardy i niepewny. Wyciągnąłem rękę i dotknąłem się czegoś miękkiego. W tej chwili oczy moje zwróciły się na bok i znowu coś białego przebiegło obok mnie. Obróciłem się z duszą na ramieniu i ujrzałem jak dziwna, podobna do małpy, postać, z dziwacznie zwróconą na dół głową przebiegła za mną przez kawałek drogi oświetlonej. Potknęła się o złom granitu, zatoczyła się w bok i po chwili znikła w czarnym cieniu poza urwiskiem rozwalonego muru.

Wrażenie moje nie jest z pewnością doskonałem; lecz wiem, że miała barwę brudno-białą i dziwne oczy duże, szarawo-czerwone; wiem również, że miała konopiaste włosy na głowie i karku. Lecz, jak powiedziałem, zbyt nagle znikła, abym się mógł jej przyjrzeć. Nie zdołałem nawet powiedzieć: czy biegła na czworakach, czy też tylko ramiona bardzo nisko opuściła, pochyliwszy się naprzód. Podążyłem za nią do drugiego rumowiska. Z początku nie mogłem jej znaleźć; ale po pewnym czasie w głębokiej ciemności doszedłem do jednego z tych otworów okrągłych, podobnych do studni, o których już wspominałem, zasłoniętego powaloną kolumną. Zaświtała mi nagle myśl: czy nie znikła w otchłani studni? Zaświeciłem zapalkę i, patrząc w dół, ujrzałem małą postać białą z temi samemi dużemi, jasnymi

oczyma, które patrzyły na mnie bez przerwy podczas owego odwrotu. Dreszcz mną wstrząsnął. Było to stworzenie podobne do ludzkiego pająka! Czepiając się ścian, schodziło w dół studni. Teraz dopiero po raz pierwszy ujrzałem cały ciąg metalowych szczebli i rączek, które tworzyły coś w rodzaju schodków prowadzących na dół. Zapałka poparzyła mi palce i wypadła z rąk, a gdym zapalił drugą, małego potwora już nie było.

Nie wiem jak długo siedziałem, patrząc w głąb studni. Dopiero po upływie pewnego czasu zdołałem dojść do przekonania, że istota, którąm widział, była istotą ludzką. I tak stopniowo rozjaśniła mi się prawda: że człowiek nie pozostał gatunkiem jednolitym, lecz różniczkował się na dwa różne typy zwierzęce; że piękne dzieci ze świata żyjącego na powierzchni ziemi nie były jedynymi potomkami naszego pokolenia, lecz że również i te wyblądłe, wstrętne istoty nocne, które uciekały przede mną, miały prawo do dziedzictwa wieków.

Pomyślałem o dziwnych owych kolumnach i o mojej teorii wentylacji podziemnej. Zaczynałem już rozumieć prawdziwe kolumn znaczenie i zapytywałem sam siebie: czem mogą być te lemury w moim schemacie organizacyi doskonale zrównoważonej? W jakim są stosunku do leniwej błogości pięknych ludzi na ziemi? Co się ukrywa tam w dole, na dnie tego szybu? Siedziałem na

brzegu studni i mówiłem sobie, że bądź co bądź nie mam się czego obawiać i muszę zejść na dół dla rozwiązania zagadki. Tak mówiłem, a jednocześnie bardzo się zejść obawiał.

Podczas tego wahania się dwoje pięknych ludzi podświetlonych przebiegło ze światła dziennego w cień. Mężczyzna ścigał kobietę w igraszcze miłosnej i ciskał w nią kwiatami podczas gonitwy. Obecność moja wprawiała ich w przykre zakłopotanie. Oparty o wywróconą kolumnę, wpatrywałem się w głąb' studni. Widocznie źle było zwracać uwagę na te głębinę, bo gdym wskazał na studnię i chciałem w ich języku zapytać: coby znaczyła? — zmieszali się jeszcze bardziej i odwrócili ode mnie. Lecz zajęły ich moje zapalki; zapaliłem jeszcze kilka, jedynie tylko, aby ich ubawić. Znowu zagadnąłem o studnię, i znowu nie udało mi się otrzymać odpowiedzi. Pozostawiłem ich samym sobie, aby powrócić do Uiny i zobaczyć czy się od niej czego nie dowiem. Lecz umysł mój już był wzburzony; domysły moje i wrażenia dążyły do nowego przystosowania się. Miałem już teraz nic prowadzącą do poznania ważności tych studni i wież wentylacyjnych, do zbadania tajemnicy duchów, pomijając już wskazówkę co do znaczenia drzwi brązowych i losów Machiny Czasu! I w mglistych zarysach nasuwał mi się już pomysł do rozwiązania zagadki ekonomicznej, która mię tak żywo zajmowała.

Otwierał się tu nowy pogląd. Istotnie, ten drugi gatunek człowieka był podziemnym. Trzy szczególnie okoliczności zmuszały mnie do mniemania, że rzadkie ukazywanie się tego gatunku na powierzchni ziemi było następstwem długotrwałego nałogu życia pod ziemią: po pierwsze, blady wygląd, pospolity u większości zwierząt, które głównie żyją pod ziemią — jak, na przykład, białe ryby w grotach Kentucky; następnie, oczy duże, obdarzone zdolnością odbijania światła, a będące wspólnym znamieniem stworzeń nocnych — czego świadkami sowa i kot; i wreszcie, ten oczywisty niepokój na świetle słonecznym, to pośpieszne a ociężałe chronienie się w czarny cień, osobliwsze trzymanie głowy na świetle — wszystko stwierdzało teorię o niezmiernej czułości siatkówki.

A zatem pod moimi stopami ziemia musi być ogromnie podziurawiona tunelami, a te tunele są siedliskiem nowej rasy ludzkiej; obecność zaś szybów wentylacyjnych i studni wzdłuż pochyłości wzgórz, wszędzie, z wyjątkiem doliny rzecznej, wskazywała jak powszechne są ich rozgałęzienia. Cóż naturalniejszego nad przypuszczenie, że prace niezbędne dla dogodnego życia rasy podślonecznej są wykonywane w tym sztucznym świecie podziemnym? Myśl ta tak mnie nęciła, że przyjałem ją odrazu i doszedłem do objaśnienia: dla czego ród ludzki rozszczepił się na dwie części. Sądzę, że już chwytacie zarys tej

teoryi, jakkolwiek ja sam wkrótce przekonałem się jak daleką jest ona od prawdy.

Najpierw, umysłowi wychodzącemu ze stanowiska naszego wieku i jego zagadnień wydawało się jasnym jak słońce, że stopniowe zwiększanie się różnicy pomiędzy kapitalistą a pracującym, różnicy dziś tylko przemijającej i społecznej, było kluczem całego systematu. Zapewne, wyda się to wam śmiesznem, szalonym i nie do uwierzenia; ale nawet i dziś już są pewne okoliczności wytykające dla myśli drogę w tym kierunku. Dziś już jest dążność do spożytkowania przestrzeni podziemnych dla mniej estetycznych celów cywilizacji; istnieje w Londynie kolej metropolitalna, na przykład, są nowe tramwaje elektryczne, są drogi podziemne, podziemne pracownie i restauracje, a wszystko to mnoży się i rośnie... Oczywiście, — myślałem sobie, — dążność powyższa ustawicznie wzrastała, aż wreszcie przemysł stracił stopniowo swoje przyrodzone prawo do światła dziennego. Zdaje mi się, że schodził coraz głębiej i głębiej, w coraz większe targowiska podziemne, i spędzał w nich czas coraz dłuższy, aż w końcu... I dziś już nawet czyż robotnik z East-Endu nie żyje w tak sztucznych warunkach, że faktycznie jest odcięty od naturalnej powierzchni ziemi?

Z drugiej znowu strony wyłączna dążność ludzi bogatych, — skutek, bezwątpienia, wzrastającego wykwinętu ich wychowania i coraz-to

szerszej przepaści pomiędzy nimi i nieokrzesałą siłą biedaków — dziś już prowadzi ich do zagarniania we własnym interesie, na własny wyłączny użytek, znacznych obszarów powierzchni kraju. Około Londynu, na przykład, już prawie połowa ładniejszych wsi jest niedostępna. I ta sama rozszerzająca się przepaść, która powstała wskutek długotrwałości i wielkich nakładów na wyższe wykształcenie, oraz wskutek większej łatwości i pochopu do wykwintnych nałogów w klasie bogatej, czynić będzie coraz rzadszą tę wymianę krwi pomiędzy klasami, te wspinanie się w górę za pomocą małżeństw, które dziś właśnie opóźnia rozpadanie się naszego gatunku wzdłuż linii uwarstwień społecznych: — tak, iż w końcu na powierzchni ziemi znajdą się posiadacze, których celem w życiu będzie przyjemność, wygoda i piękno, a pod powierzchnią ziemi nieposiadacze; przyczem ludzie pracujący będą się przystosowywali coraz bardziej do warunków swej pracy. A gdy raz już znajdą się w tem przystosowaniu, bezwątpienia będą już potem musieli płacić czynsz, z niego zaś niemałą część za samą tylko wentylację swych jaskiń; jeżeli zaś odmówią, zostaną zagłodzeni i uduszeni w podziemiach. Ci z pomiędzy nich, których sama ich natura urobi na nieszczęśliwych i buntujących się, wymrą; aż w końcu zrównoważenie się ustali: ci, co przetrwają, będą już tak dobrze przystosowani do warunków życia pod ziemią i tak szczęśliwi w swoim poło-

niu, jak lud na powierzchni ziemi w swoim. Podług mego zdania, zarówno wykwintną piękność jak i wypłonią bladłość przyniósł tylko naturalny rozwój stosunków.

Wielki tryumf ludzkości, o którym marzyłem, przybrał już teraz inną postać w moim umyśle. Nie było takiego rozkwitu wychowania moralnego i współdziałania powszechnego, jaki sobie wyobrażałem. Zamiast tego spostrzegłem arystokracją prawdziwą, uzbrojoną w wiedzę doskonałą i wyprowadzającą wnioski logiczne z systematu przemysłowego doby obecnej. W jej tryumfie było, nie samo tylko proste opanowanie przyrody, lecz o władnięcie zarazem przyrodą i bliźnim. Muszę ostrzedz, że taką była moja teoria w owym czasie. Nie miałem odpowiedniego przewodnika w idealnych obrazach książek utopijnych.

Moje tłómaczenie może być zupełnie mylnem, utrzymuję wszakże, iż jest jednym z najłatwiej dających się przyjąć. Lecz nawet i w tem przypuszczeniu cywilizacja zrównoważona, którą nareszcie osiągnięto, dawno już musiała przejść swój zenit i obecnie już głęboko chyliła się ku upadkowi. Zbyt doskonałe bezpieczeństwo Podłonecznych wprawiło ich w powolny ruch w kierunku zwyrodnienia, doprowadziło ich do ogólnego skarlłowacenia pod względem wzrostu, siły i inteligencyi. Już teraz widziałem to dostatecznie jasno. Nie wiedziałem jeszcze jaki los spotkał

Podziemnych, lecz już z tych Morloków — taką, nawiasem mówiąc, mieli oni swoistą nazwę, — których widziałem, wnieść mogłem, że w nich przemiana typu ludzkiego była jeszcze głębszą, niż w Elojach, owej pięknej rasie, którą już przedtem był poznał.

Ogarnęły mnie później wątpliwości niepokojące. Po co Morloki zabrali moją maszynę? miałem bowiem już pewność, że to oni ją wzięli. Dlaczego zresztą Eloje, jeżeli to oni byli panami, nie mogli mi jej zwrócić? I dlaczego tak straszliwie obawiali się ciemności?

Wróciwszy, zacząłem wypytywać Uinę o ten świat podziemny; lecz tu znowu spotkało mnie rozczarowanie: z początku nie rozumiała moich pytań, później stanowczo odmówiła odpowiedzi. Drżała tak, jakgdyby ten przedmiot był dla niej nie do zniesienia, gdy zaś wywarłem na nią pewien przymus, może cokolwiek brutalnie, rozpłakała się. Były to jedyne łzy, oprócz moich własnych, jakie widziałem w tym Złotym Wieku. Na widok tych łez przestałem odrazu dręczyć delikatną istotę o Morloków i starałem się już tylko spędzić i te również dowody dziedziczności ludzkiej z oczu miłego stworzenia. Wkrótce potem uśmiechała się już i klaskała w ręce, gdy uroczyście zapalał zapałkę.

IX.

Morloki.

Może się to wam wyda dziwnem, lecz dopiero po upływie dwu dni mogłem pójść po nowo znalezionej nici przewodniej w kierunku drogi jedynie właściwej. Czułem szczególną odrazę do tych ciał białych. Była to istotnie półspłowiała barwa robaków i innych przedmiotów, przechowywanych w spirytusie w muzeach zoologicznych. Przytem byli odrażająco zimni w dotknięciu. Być może, że moja odraza w znacznym stopniu zależała od sympatycznego wpływu Ełojów, których wstret do Morloków zaczynałem już teraz szanować.

Następnej nocy źle spałem. Prawdopodobnie zdrowie moje było cokolwiek rozstrojone. Ogarnęła mnie troska, zwątpienie. Raz, czy dwa, uczułem silny strach, bez dostatecznego powodu. Pamiętam, że pocichu wsunąłem się do wielkiej sali, gdzie w świetle księżyca spali mali ludzie — tej nocy Uina była razem z nimi — i czułem się uspokojonym ich obecno-

ścią. Właśnie w ciągu kilku dni ostatnich księżyc przebył ostatnią kwadrę, noce były coraz ciemniejsze, i zaraz też owe brzydkie twory z podziemi, te białe lemury, to nowe robactwo, zastępujące dawne, ukazywało się tłumniej. Przez te dni w sumieniu swoim byłem jak ktoś, kto usiłuje wymknąć się nieprzepartemu obowiązki. Czułem, że Maszynę Czasu odzyskać można tylko przez odważne wkroczenie do tych tajemniczych podziemi; a jednak tajemnicom tym zajrzeć w oczy nie śmiałem! Byłoby inaczej, gdybym miał towarzysza; lecz byłem tak straszliwie osamotniony, iż nawet zejście na dół, w ciemności studni, przestraszało mnie. Nie wiem czy pojmujecie moje uczucia, lecz ja czułem za sobą wciąż ścigające mnie niebezpieczeństwo.

Ten niepokój, ta dręcząca niepewność może pchała mnie coraz - to dalej w moich poszukiwaniach. Idąc na południo - zachód ku wsi, którą teraz nazywają Combe Wood, zauważyłem w oddali, w kierunku Banstead wieku dziewiętnastego, duży budynek zielony, różniący się znacznie od wszystkich widzianych dotąd. Był on większy od największych pałaców lub ruin, które już znałem, a fasadę miał w stylu wschodnim; połyskująca jego strona zewnętrzna okazywała blado - zielone zabarwienie, — zlekka niebieskawe, jakgdyby porcelana chińska. Ta różnica w wyglądzie zewnętrznym nasunęła mi myśl o różnicy w przeznaczeniu budynku: postanowi-

łem dotrzeć i zbadać. Lecz dzień chylił się już ku końcowi, do odkrycia zaś pałacu doszedłem dopiero po długim i męczącym krążeniu: dlatego odłożyłem wyprawę na dzień następny i powróciłem do radosnych powitań i pieśczot małej Uiny. Nazajutrz widziałem już, że moja ciekawość poznania pałacu była tylko próbą oszukania samego siebie, próbą uniknięcia wyprawy, której się lękałem. Wreszcie powiedziałem sobie, że zejdę w podziemia bez dalszego już odkładania na później i wczesnym rankiem udałem się do studni w pobliżu ruin z granitu i glinu.

Mała Uina biegła ze mną. Płasała przy moim boku aż do studni, lecz gdy ujrzała, że nachylam się nad zrębem i w dół spoglądam, dziwny okazała niepokój. — Do widzenia, mała Uino, — powiedziałem, całując ją, a stanąwszy przy samej studni, zacząłem macać po ścianie, szukać szczebli do schodzenia. — Muszę przyznać, że robiłem to szybko, w obawie, aby mnie nie opuściła odwaga!

Uina z początku śledziła mnie zdziwiona; następnie wydała rozzwierający okrzyk, rzuciła się ku mnie i zaczęła mnie drobnymi swemi rączkami ciągnąć w górę. Sądzę, że jej opór raczej pobudzał mnie do wytrwania w postanowieniu. — Odepchnąłem ją, może zbyt brutalnie, i po chwili byłem już w gardzieli studni. Ujrzałem jej twarz w śmiertelnem przerażeniu, i uśmiechnąłem

się, aby jej dodać otuchy. Spojrzałem w dół na wątle szczeble, których czepiać się miałem...

Spuściłem się szybem może na dwieście jardów w głąb: schodziłem po prętach metalowych, osadzonych w ścianach studni, a ponieważ były one obliczone na mniejszy ciężar, istot mniejszych i lżejszych niż ja, szybko więc utrudziłem się i zmęczyłem schodzeniem. I nietylkom się zmęczył! Jeden z prętów nagle zgiął się pod moim ciężarem, i zawisłem nad ciemną otchłanią. Chwilę tak wisiałem na jednej ręce, lecz nie myślałem chwili tej przedłużyć. Jakkolwiek czułem silny ból w rękach i krzyżu, spuszczałem się na dół, chwytając się wciąż haków ruchem jaknajszybszym. Spoglądając ku górze, widziałem otwór, niewielki krążek niebieski, a w nim jedną, samotną gwiazdkę. Głowa Uiny wydawała mi się okrągłą sylwetką ciemną. Stuk, łoskot maszyny stał się na dole głośniejszym i coraz bardziej ogłuszał. Wszystko oprócz małego krążka u góry tonęło w czarnych ciemnościach, a gdym spojrzał znowu w górę, Uiny już nie było.

Uczułem przygnębiający ból. Pomyślałem: czyby nie rzucić tego świata podziemnego i nie powrócić na górę? lecz, nawet jeszcze tak myśląc, schodzić nie przestawałem na dół. Wreszcie, z wyraźnym zadowoleniem, ujrzałem w ciemnościach, po prawej ręce, w odległości stopy, niewielki otwór w ścianie. Gdym weń wpełznął, poznałem, że jest to otwór wąskiego tunelu po-

ziomego, w którym mógłbym się położyć i odpocząć. Czas już było o tem pomyśleć. Bolały mnie ręce, czułem kurcz w krzyżu i drżałem wskutek długiej obawy upadku. Oprócz tego nieprzebite ciemności przykro oddziaływały mi na wzrok... Wciąż słychać było łoskot maszyny, pompującej na dół powietrze.

Nie wiem jak długo leżałem. Obudziła mnie ręka łagodnie głaszcząca po twarzy. Zrywając się w ciemności, schwyciłem zapalnik i, zapalivszy jedną z nich pośpiesznie, ujrzałem trzy białe istoty, pochylające się nade mną a podobne do tej, jaką widziałem był na ziemi około ruin; wszystkie szybko uskoczyły przed światłem. Ponieważ prawdopodobnie żyły zawsze w nieprzejrzanym mroku, oczy ich były nienormalnie duże i czułe, jak źrenice ryb głębokowodnych, i w taki sam też sposób odbijały światło. Nie wątpię, że widziały mnie w tej bezbrzeżnej ciemności i, jak sądzę, nie mnie bynajmniej lękały się, lecz tylko światła. Skorom potarł zapalnik dla przyjrzenia się im, puciekały natychmiast w ciemne kanały i tunele, z których oczy ich błyskały ku mnie w najdziwniejszy sposób.

Chciałem na uciekających zawołać, lecz język, którym władali, był widocznie różnym od języka ludu z powierzchni ziemi, tak, iż pozostawiony własnym siłom wtedy jeszcze raz pomyślałem, że najlepiej będzie dać pokój wszystkiemu. Powiedziałem sobie jednak po chwili:

«Masz teraz to przed sobą». Widziałem, że mi wypada iść tunelem: poszedłem. Słyszałem rosnący wciąż odgłos maszyny. Teraz już droga moja nie była wciśniętą między dwie ściany. Znalazłem się w dużej przestrzeni otwartej, a zapalwszy zapalnik, poznałem, że wszedłem do sklepionej groty, której głąb' nurzała się w ciemnościach. Widok, jaki mogłem ogarnąć, sięgał tak daleko, jak światło z płomienia zapalnika.

Zapewne, wspomnienia moje nie muszą mieć należytej wyrazistości... Pamiętam jednak jak z ciemności wyrastały olbrzymie kształty, podobne do wielkich maszyn, i rzucały dziwne czarne cienie, w których ukrywały się przed światłem ciemne Morloki, podobne do duchów. Od pierwszego rzutu oka spostrzegłem, że podziemie było zacieśnione. W powietrzu czuć się dawał mdły zapach krwi świeżo rozlanej. W tylnej części podziemia stał niewielki stół z białego metalu, założony czemś podobnym do mięsa. Morlocy więc w każdym razie byli mięsożerni! Nawet w takiej chwili przyszło mi na myśl: które też - to z wielkich zwierząt mogło jeszcze dochować się do owego wieku świata i dostarczyć tej czerwonej masy, na którą patrzyłem? Wszystko to kłębiło się w moim umyśle: przygnębiający zapach, olbrzymie, zmącone kształty, wstrętne postaci, przyczajone w cieniu i tylko czekające na ciemność, aby na powrót zabrać się do mnie.

W tej chwili zapalka się dopaliła, parząc mi palce, i upadła jak czerwona plamka na czarnej ciemności.

Pomyślałem jak źle zaopatrzyłem się na podobną wyprawę. Gdym się puszczał w podróż na Machinie Czasu, jechałem w tem przekonaniu nierozsądnem, że ludzie przyszłości będą bezwątpienia stali nieskończenie wyżej od nas pod względem wszelkiego rodzaju zasobów. Pojechałem bez broni, bez lekarstwa, bez papierosów — a chwilami straszliwie tęskniłem za tytunem — nawet bez zapalek. Gdybym przynajmniej pomyślał był o aparacie fotograficznym! Podczas tej wycieczki mógłbym sobie zaświecić, w jednej sekundzie zdjąć obraz świata podziemnego i potem już przyglądać się mu dowoli. Lecz tak jak było, już być musiało; stałem tam tylko z taką bronią i taką siłą, jakimi obdarzyła mnie przyroda: z rękoma, nogami i zębami. To, a do tego jeszcze cztery zapalki bezpieczeństwa: i oto wszystko, co mi zostało. A lękałem się pociemku wybierać sobie drogę wśród tych wszystkich machin. Przy ostatnim zaświeceniu zapalką poznałem, że zasób mój jest już na wyczerpaniu. Nie przyszło mi na myśl aż do tej chwili, że potrzeba oszczędzać, i zmarnowałem prawie pół pudełka dla wprowadzenia w podziw owych Podślonecznych, dla których ogień był nowością. Teraz, jak mówię, zostały mi tylko cztery zapalki.

Gdy tak stałem w ciemnościach, ręka jakaś dotknęła mojej, chude palce zaczęły mnie obmacywać po twarzy, i poczułem woń nadzwyczaj nieprzyjemną. Zdawało mi się, że słyszę dookoła oddech całego tłumu tych strasznych istot. Czułem, jak mi delikatnie wyciągają z rąk pudełko zapalek, jak inni znowu z tyłu szperają w mej odzieży. Dotknięcia tych niewidzialnych stworzeń, usiłujących rozpoznać tajemniczą istotę, sprawiały mi przykrość niezmierną. Nagle świadomość, że nie znam wcale ich metod myślenia i działania, ocknęła się w tej ciemności. Krzyknąłem na nich jak tylko mogłem najsilniej. Odskoczyli, ale wkrótce spostrzegłem, że znowu się zbliżają. Teraz już podstąpili śmieiej, dziwacznie do siebie coś szepcząc. Otrząsnąłem się gwałtownie, krzyknąłem ochrypłym już głosem. Tym razem nie bardzo się nastraszyli, a gdy wracali do mnie znowu, usłyszałem dziwne ich chychoty. Przyznam się, że opanowała mnie trwoga straszliwa. Postanowiłem zaświecić zapalką i wymknąć się pod osłoną jej blasku. Tak też uczyniłem, a przedłużając blask płomienia przez zapalenie kawałka papieru, wyjętego z kieszeni, dostałem się szczęśliwie do wąskiego tunelu. Zaledwem się tam wcisnął, światło zgasło. W ciemnościach słyszałem szmer ścigających mnie Morloków, jakby szumił liści na wietrze; słyszałem dreptanie ich, jakby odgłos padającego deszczu.

W jednej chwili pochwyciło mnie mnóstwo rąk; nie było wątpliwości: chcieli mnie wciągnąć napowrót. — Znowu zaświeciłem zapalką i migalem nią przed oślepieniami oczami. Nie wystawicie sobie jak odrażająco nieludzko wyglądali—te blade oblicza bez podbródków i te wielkie, bez powiek oczy niebieskawo-szare — i jak oślepli, zdiczali wpatrywali się we mnie. Lecz, mówię to wam, ja nie dla wpatrywania się w nich przystanąłem! Cofnąłem się znowu, a gdy mi zgasła druga zapalka, zapaliłem trzecią. Płonęła przez cały czas, póki nie dotarłem do otworu szybu. Położyłem się na brzegu, bo od ogłuszającego łoskotu wielkiej pompy na dole dostałem zawrotu głowy. Następnie poomacku poszukałem wystających haków, a podczas tego niewidzialne ręce pochwyciły mnie za nogi... i gwałtownie pociągnęły w tył. Zapaliłem ostatnią zapalkę: i ta prędko zgasła. Lecz teraz już trzymałem się mocno szczebla osadzonego w ścianie; gwałtownem kopnięciem uwolniłem się ze szponów Morloków i zacząłem szybko wspinać się w górę. Oni stali, patrząc i mrugając,—wszyscy z wyjątkiem jednego łotra, który ścigał mnie przez czas jakiś i najspokojniej w świecie ściągnął mi but jako łup wojenny.

Wspinanie się po szczeblach szybu wydawało się nieskończonem. Na ostatnich dwudziestu, czy trzydziestu, schodach napadły mnie śmiertelne mdłości. Z największym już tylko

trudem utrzymać się mogłem. Kilka ostatnich jardów było straszną walką z niemocą. Kręciło mi się w głowie, przeszedłem przez wszystkie wrażenia spadania. — Nakoniec wydostałem się jakoś z czeluści studni i wywlokłem po za obręb zwalisk, na oślepiające słońce. Upadłem na twarz. Nawet ziemia miała zapach przyjemny i czysty. Potem... zapamiętałem Uinę, całającą mi ręce i uszy, i głosy stojących nade mną Elojów. Czas jakiś byłem nieprzytomny.



X.

Za nadejściem nocy.

Rzeczywiście teraz znalazłem się w gorszym położeniu niż poprzednio. Dotychczas, z wyjątkiem pewnego udręczenia w nocy z powodu straty Machiny Czasu, podtrzymywała mnie stale nadzieja ostatecznego ujścia z tego świata przyszłości; lecz skutek nowych odkryć ta właśnie nadzieja opuszczać mnie zaczęła. Dotychczas sądziłem, że przeszkadza mi jedynie dziecinna prostota małego ludu, przeszkadzają jakieś siły nieznanne, które muszę tylko poznać, aby nad nimi zapanować; teraz spostrzegłem, że bądź co bądź był jakiś nowy czynnik w chorobliwych właściwościach Morloków: coś niehumanicznego i złośliwego — nienawidziłem ich instynktownie. — Przedtem czułem to, co może uczuwać człowiek, który wpadł w dół: myślałem o dole i o tem, jakby się z niego wydostać; teraz czułem się jak zwierzę w sidłach, po którego wkrótce przyjdzie nieprzyjaciel.

Zadziwi to was, jakiego nieprzyjaciela ja się obawiałem. Oto: ciemności na nowiu. Uina nakładła mi tego w głowę swojemi uwagami, z początku niezrozumiałemi, o ciemnych nocach. Nie było już teraz trudno domyślić się jakie znaczenie przywiązywano do ciemnych nocy. Księżyc schodził właśnie z kwadry i z każdą następującą nocą ciemność wzrastała. Teraz zrozumiałem, przynajmniej do pewnego stopnia, dlaczego mały lud tak się lękał ciemności. Z podziwu wyjść nie mogłem na myśl: jakiej niecnej zbrodni dopuszczają się Morloki na nowiu. Teraz już byłem prawie pewnym, że moja druga hipoteza jest mylną. Lud na powierzchni ziemi mógł być niegdyś uprzywilejowaną arystokracją, a Morloki jej sługami do wykonywania czynności mechanicznych; lecz to minęło już dawno. Dwa gatunki, które powstały z rozwoju człowieka, staczały się wciąż na dół, aż wreszcie w nowym zupełnie stosunku do siebie stanęły. Eloje, podobni do królów-Merowingów, zwyrodniali w piękne, ale czcze marnoty. Zawsze przecież jeszcze władali oni na powierzchni ziemi, gdy Morloki, lud od wielu pokoleń pod ziemią żyjący, doszli do tego już, że nie mogli nawet znieść słonecznego światła. Przypuszczałem, że robią odzież dla tamtych i zaspakajają inne potrzeby ich życia — prawdopodobnie tylko wskutek przeżytku dawnego nawyknięcia do służby. Czynią to tak, jak koń stojący, który grzebie kopytem, lub jak czło-

wiek, który się bawi zabijaniem zwierząt dla sportu: ponieważ konieczność, niegdyś rzeczywista, dziś już nieistniejąca, raz już wraziła w organizm typ danej czynności. Dziś wszakże, było to jasnym, stary porządek rzeczy poszedł na wywrot. Do rasy zniewieściałej szybko zbliżała się zaczajona Nemesis. Przed wiekami, przed tysiącami pokoleń, zepchnięto bliźniego z pod słonecznego światła, odjęto mu środki do życia: teraz bliźni ten powracał, ale jakże zmieniony! Teraz Eloje zaczynali uczyć się na nowo starej lekcyi; na nowo zapoznali się ze strachem.

I nagle przypomniało mi się to mięso, które widziałem w świecie podziemnym. Obraz ten dziwnie wystąpił teraz przede mną: nie napłynął mi w potoku rozmyślań, lecz wpadł raptownie z zewnątrz wraz z pierwszym błyskiem myśli. Staralem się przypomnieć go sobie. Jakby przez mgłę pamiętałem, że to coś mi znanego, lecz nie mogłem w żaden sposób określić: co?

Chociaż jednak mały lud był bezbronnym wobec strachu, ja znajdowałem się w innym położeniu. Ja przychodziłem z tego wieku, z tego dojrzałego zarania rodu ludzkiego, kiedy strach już nie paraliżuje sił, a tajemnica traci swą grozę. Wreszcie, mogę się bronić.—Bezwłocznie postanowiłem zrobić sobie broń i urządzić warownię, gdzie-bym mógł sypiać. Gdy zyskam ostoję w takim schronisku, będę mógł spojrzeć na ten świat dziwny z pewną otuchą, którą utraciłem,

dowiedziawszy się na jakie niebezpieczeństwo byłem wystawiony co noc. Czułem, że nie będę mógł zasnąć, dopóki łoża swego nie zabezpieczę przed Morlokami. Drżałem z odrazy na samą myśl, że już nieraz, gdym spał, wpatrywać się we mnie musieli.

Po południu wędrowałem po dolinie Tamizy, lecz nic takiego nie dostrzegłem, coby mi się wydało zabezpieczającym od napaści. Wszystkie budynki i drzewa były łatwo dostępne dla Morloków, tak wprawnie wspinających się w górę, o ile sądzić mogłem z urządzenia ich szybów. Wówczas przyszły mi na myśl wysokie szczyty pałacu z zielonej porcelany i blask wypolerowanych jego ścian; a wieczorem, wzięwszy Uinę na ręce jak dziecko, udałem się ku wzgórzom w kierunku południowo-zachodnim. Podług mego obliczenia odległość wynosiła siedm lub ośm mil, lecz rzeczywiście było około ośmnastu. Po raz pierwszy widziałem był tę miejscowość w czasie dżdżystego popołudnia, gdy odległości zwodniczo się zmniejszają. Na dobitkę zgubiłem wyżkę u jednego buta i gwóźdź wbił mi się w podeszew (wyruszyłem był bowiem w podróż w wygodnych starych butach, które nosiłem po domu) — tak, iż kulałem. Było już po zachodzie słońca, gdym ujrzał pałac jako sylwetkę na blado-żółtem niebie.

Uina była bardzo zadowoloną, gdym ją zaczął nieść, lecz po pewnym czasie zażądała,

abym ją puścił na ziemię, i odtąd już biegła obok mnie, często zbaczając z drogi dla zrywania kwiatów, któremi napychała mi kieszenie. Te kieszenie moje zawsze ją intrygowały, lecz w końcu doszła do przekonania, że są to osobliwszego rodzaju wazony do kwiatów; taki przynajmniej czyniła z nich użytek. Ach, przypominam sobie! Zmieniając żakiet, znalazłem...

Tu Podróżnik z Krainy Czasu zatrzymał się, sięgnął ręką do kieszeni i milcząc położył na stole dwa zwiędłe kwiaty, podobne do bardzo dużych małych białych. Następnie ciągnął dalej opowieść.

Gdy ziemię zaległa cisza wieczorna, i gdyśmy doszli szczytem pagórków do Wimbledonu dzisiejszego, Uina zmęczyła się i chciała już powrócić do domu z szarego kamienia. Lecz ja wskazałem jej odległe szczyty pałacu z zielonej porcelany i starałem się dać jej do zrozumienia, że szukamy właśnie ucieczki przed strachem, który ją dręczył.

Znacie tę wielką ciszę, jaka spada na wszystko przed zmrokiem? Nawet powiewy wiatru więzną wtedy w drzewach. Ja zwykle w ciszy wieczornej doznaję takiego uczucia, jakgdybym czegoś wyczekiwał.

Niebo było jasne, wspaniałe, bez obłoków, z wyjątkiem kilku pręg poziomych nisko na zachodzie. Tej nocy moje wyczekiwanie przyjęło barwę moich obaw. W tej ciemniejszej ciszy zmysły

moje posiadały jakby czułość nadprzyrodzoną. Zdało mi się, że wyczuwam próżnię w gruncie pod stopami swemi, że widzę Morloków, ich mrówcze bieganie tu i owdzie i wyczekiwanie ciemności. W pobudzeniu swoim wyobrażałem sobie, że najście na swe terytoryum będą uważali za wypowiedzenie wojny. A pocóż oni porwali mi moją Maszynę Czasu?

Tak szliśmy w milczeniu. Zmrok zgęścił się już w noc. Jasny błękit na dalekim horyzoncie zbladł; gwiazdy zaczęły się ukazywać jedna po drugiej. Ziemię otulił mrok; w mroku majaczyły czarne postacie drzew. Uina uległa trwodze i zmęczeniu. Wzięłem ją w objęcia; przemawiałem, pieściłem. Gdy ciemności się wzmogły, objęła moją szyję, a przymknawszy oczy, przycisnęła silnie twarz do mojego ramienia. Tak po pochyłości zeszliśmy w dolinę i dotarli do małej rzeczki. Przebyłem ją w bród i znalazłem się po drugiej stronie doliny. Miąłem wiele domów do spania, miąłem posąg, który mógł przedstawiać fauna lub coś podobnego — bez głowy. Rosły tu nadto jeszcze akacye. Wcale jeszcze nie dostrzegałem Morloków, lecz noc była jeszcze dosyć wczesną i nadchodziła dopiero godzina ciemności przed wschodem księżyca w ostatniej kwadrze.

Z wierzchołka najwyższego pagórka ujrzałem gęsty las, rozciągający się szeroko; czerniał teraz przede mną. Zawahałem się. — Na prawo,

na lewo nie widziałem końca. Czułem się zmęczonym; szczególnie bolały mnie nogi. Delikatnie zsunąłem Uinę z ramion i usiadłem na trawie. Straciłem z oczu pałac z zielonej porcelany i nie wiedziałem już gdzie się znajduję. Patrząc w gęstwinę lasu, — myślałem, co też w nim ukrywać się może... W te gęste sploty gałęzi nie przenikał blask gwiazd. Gdyby nawet nie było innych czyhających niebezpieczeństw — nie pozwalałem swej wyobraźni zatrzymywać się nad niebezpieczeństwami — były przecież korzenie, o które można się potknąć, były pnie drzew, o które można się uderzyć — a nadmiar bardzo byłem zmęczony wzruszeniami tego dnia: tak, iż postanowiłem nie wystawiać się na niebezpieczeństwa i przepędzić noc na otwartym wzgórzu.

Z zadowoleniem patrzałem na Uinę zupełnie snem zjętą. Okryłem ją starannie żakietem i usiadłem obok niej, aby się doczekać wschodu księżyca. Na zboczu wzgórza było spokojnie i pusto, lecz z mroków leśnych dolatywał chwilami szmer żywych istot. Nade mną świeciły gwiazdy, bo noc była bardzo pogodną. W ich migotaniu dostrzegłem jakby przyjazne współczucie. Wszystkie stare konstellacye poznikały już były z nieba; ten powolny ruch, niedający się dostrzedz w ciągu jednej setki pokoleń ludzkich, oddawna już poukładał je w grupy, nieznanymi, zupełnie obce. Lecz Droga Mleczna była, jak

mi się zdawało, ciągle jeszcze takim samym spienionym strumieniem gwiazd rozpalonych, jak niegdyś. Na południu, tak mi się zdawało, jaśniała bardzo silnie jakaś nieznana mi gwiazda czerwona; była nawet świetniejszą od naszego zielonego Syryusza. Wśród tych iskrzących się punktów świetlanych jedna tylko jasna planeta świeciła przyjaźnie a wiernie, jak twarz starego przyjaciela.

Gdym tak na niebo gwiazdziste spoglądał, szybko pierzchały wszystkie moje niepokoje, wszystkie uciążliwości życia ziemskiego. Myślałem o niezmierzonej odległości tych gwiazd i o ich powolnym, lecz niepowstrzymanym biegu z nieznanej przeszłości w przyszłość nieznaną. Pomyślałem o wielkim cyklu wyprzedzania punktów równonocnych i o kole, jakie zakreśla biegun ziemi. Za ledwie czterdzieści razy spełnił się ten cichy obrót w ciągu lat, które przebyłem. A podczas tych wszystkich przemian cała działalność, wszystkie tradycje, wszystkie, tak złożone, organizacje, narodowości, języki, literatury, dążności, nawet pamięć o człowieku takim, jakiego ja znałem, przemoc jakaś z bytu rzeczywistego wymiotła. Zamiast tego wszystkiego były tylko te drobne istotki, które zapomniały już o swem wysokiem pochodzeniu, i te białe stworzenia, które przejmowały mnie trwogą. Pomyślałem o owym wielkim strachu, jaki rozdzielał oba gatunki człowieka, i po raz pierwszy, z dreszczem nagłym,

wytworzyłem sobie jasne już pojęcie, jakie-to ja mięso mogłem widzieć wówczas w podziemiu. Było to zbyt okropne! Spojrzałem na małą Uinę, która spała obok mnie, na jej białą twarz — jak gwiazdę wśród gwiazd—i szybko oderwałem myśl od wstrząsającego przedmiotu.

W ciągu długiej nocy starałem się, o ile mogłem, nie myśleć o Morlokach i dla zabicia czasu zacząłem z nowego zamętu na niebie wyobrażnia wydobywać konstellacye dawnego porządku. Całe niebo było bardzo jasne, z wyjątkiem jednego może ciemnego obłoczka. W rozmarzeniu usypiałem. Ale to moje czuwanie w ciemnościach nareszcie skończyć się miało. Na wschodzie zjawiała się bladość, jakby odbłask jakiegoś bezbarwnego ognia, i wszedł księżyc w ostatniej fazie, — cienki, ostry, biały. Wkrótce zapanowując nad nim i zalewając go, podniósł się brzask, z początku blady, później coraz rumieńszy i cieplejszy. Nie zbliżył się do nas ani jeden Morlok. Istotnie, tej nocy nie widziałem żadnego z nich na pagórku. I w ufności, jaką mnie przejęło przebudzenie się dnia, zacząłem już uważać obawy swe za najzupełniej bezzasadne. Wstałem i uczułem ból w pięcie; noga spuchła mi w kostce (skutek chodzenia w bucie bez wyżki); usiadłem znowu, zdjąłem trzewiki i odrzuciłem je od siebie.

Rozbudziłem Uinę. Weszliśmy do lasu, teraz już zielonego i miłego, tak jak poprzednio był

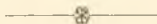
czarnym i zastraszającym. Napotkaliśmy owoce, i mogliśmy się posilić. Wkrótce potem ujrzeliśmy miły ludek, śmiejący się i tańczący w świetle słonecznym, jakgdyby wcale nie było nocy w przyrodzie. I wtedy znowu pomyślałem o owem mięsie w podziemiach. Teraz wiedziałem już niezawodnie co to było za mięso, i żal ścisnął mi serce nad tym ostatnim strumyczkiem pozostałym z wielkiego potoku ludzkości... Widocznie w długim łańcuchu wieków, gdy ród ludzki upadał, wyczerpały się Morlokom środki do życia; może się żywili szczurami lub podobnem plugawstwem. Dziś nawet, człowiek jest mniej wybrednym i wyłącznym w swym pokarmie, niż był niegdyś — mniej przebijającym niż małpa. Jego odraza od mięsa ludzkiego nie jest instynktem — głęboko zakorzenionym. I tak ci nieludzcy synowie ludzcy!..

Starąłem się spojrzeć na rzecz ze stanowiska naukowego. Bądź co bądź, byli oni mniej ludźmi i bardziej oddalonymi od nas, niż nasi przodkowie ludożercy z przed trzech czy czterech tysięcy lat. Znikła przytem intelligencja, która mogłaby budzić odrazę od takiego stanu rzeczy. Dlaczego bym się miał niepokoić? Owi Eloje to wręcz tylko bydło tuczone, hodowane przez mrówczo-skrzętnych Morloków, którzy później na nie polują, oszczędzając młode potomstwo. A tu, obok mnie, ta płasząca Uina!

Następnie starałem się opędzić przerażeniu, które mnie opanowywało, gdy patrzyłem na ten stosunek jako na surową karę za samolubstwo ludzkie. Człowiek zadowolnił się życiem w wygodzie i dostatku kosztem pracy bliźnich, przyjął konieczność za hasło i wymówkę: i z biegiem czasu konieczność wtargnęła mu za próg. Próbowałem wzbudzić w sobie karlajlowską wzdrgnięcie dla tej arystokracji w upadku. Lecz umysł nie mógł stanąć w takiej postawie. Eloje, przy całym swoim uwstecznieniu umysłowym, zachowali zbyt wiele form człowieczeństwa, aby nie mieli liczyć na moje współczucie. To, na co patrzyłem, nie zdołało współczucia tego zmódrzyć: nie mogłem przecież stać się uczestnikiem ani ich poniżenia, ani ich strachu.

Nie wiedziałem dokąd się skierować. Pierwszą moją myślą było zapewnić sobie bezpieczne schronisko i zrobić taką broń z metalu lub kamienia, na jaką-bym się tylko mógł zdobyć. To była konieczność niecierpiąca zwłoki. Następnie miałem nadzieję zaopatrzyć się w środki do rozpalania ognia, tak, iżby jako oręż mieć pochodnię w ręku, bo wiedziałem, że nic nie działa na tych Morloków skuteczniej. — Następnie jeszcze chciałem zbudować przyrząd do rozbicia brzozy pod białym sfinksem. Po głowie snuł mi się taran. Miałem pewność, że gdybym mógł tylko dostać się temi drzwiami do środka i nieść przed sobą zapaloną pochodnię, zdołał-

bym też i odszukać Machineę Czasu i umknąć z tego świata Przyszłości. Nie zdawało mi się, aby Morloki mieli dość siły do uprowadzenia maszyny gdzieś dalej. Uinę postanowiłem zabrać z sobą na ten nasz świat dzisiejszy. I snując takie zamysły, zbliżałem się coraz bardziej do budynku, którym sobie w myśli obrał na wspólne nasze mieszkanie.



XI.

Pałac z zielonej porcelany.

Pałac z zielonej porcelany, do którego doszedłem około południa, znalazłem opuszczony i w ruinie. W oknach pozostały tylko kawałki szyb potłuczonych, a duże tafle zielonej licówki powypadały z zardzewiałych ram. Stał on bardzo wysoko nad niską łąką, a gdy przed wejściem wewnątrz rzuciłem okiem na północo-wschód, ze zdziwieniem ujrzałem wody szeroko rozlane, tworzące jakby zatokę, w tem miejscu, gdzie niegdyś, jak mniemałem, leżeć musiało dzisiejsze Wandsworth lub Battersea. Pomyślałem wtedy,— nigdy przecież już potem myśl ta nie wróciła do mnie -- co się stać mogło, lub co się może jeszcze dzieje, z istotami żyjącymi w morzu?

Po przyjrzeniu się bliższem poznałem, że materiały, z którego zbudowano pałac, był rzeczywiście porcelaną, a na fasadzie pałacu ujrzałem napis nieznanem mi pismem. Pomyślałem

sobie, co prawda, bez wielkiego zastanowienia, że Uina może mi pomóc w odczytaniu; lecz dowiedziałem się tylko, że samo pojęcie pisma nie powstało nigdy w jej głowie. Zawsze wydawała mi się więcej człowiekiem, niż była w istocie — może dlatego właśnie, że przywiązała się do mnie tak po człowieczemu.

Za wielkimi podwojami, które były potrza-skane i stały przed nami otworem, ujrzeliśmy, zamiast zwykłej sali, długą galeryę, oświetloną za pomocą licznych okien bocznych. Na pierwszy rzut oka przyszło mi na myśl muzeum. Podłoga ceglana była grubo pokryta pyłem, a na różnych przedmiotach, ustawionych rzędem, zalegał kurz, tworzący grube szare pokrycie. W środku sali stało coś osobliwego, dziwnie zaschłego; była to niższa część dużego skieletu. Poznałem po skośnych nogach, że jest to stworzenie wymarłe, podobne do *Megatherium*. Czaszka i kości górne leżały obok w grubym pyłe, a w jednym miejscu, gdzie woda deszczowa sączyła się przez otwór w dachu, skielec był mocno uszkodzony. Dalej, w galeryi stał olbrzymi skielec baryłkowaty *Brontosaura*. Stwierdziło się zatem moje przypuszczenie, że to było muzeum. Gdy się zwróciłem w bok, znalazłem coś podobnego do pochylonych półek, a ścierając grubą warstwę pyłu, odkryłem dobrze znane pudełka szklane naszych czasów. Wiele z nich musiało jednak być zamkniętymi hermetycznie, je-

żeli sądzić z doskonałego przechowania zawartości.

Widocznie, staliśmy wśród ruin jakiegoś South Kensington z ostatnich czasów. Tu niewątpliwie był oddział paleontologiczny, a ten zbiór wykopalisk niegdyś musiał być wspaniałym. Nieunikniony proces rozkładu wśród tych wszystkich skarbów spełniać się nie przestawał, wprawdzie z nadzwyczajną powolnością, ale i ze skutecznością nieodwróconą, jakkolwiek zrazu przez czas pewien go powstrzymywano, a zupełne zniknięcie bakteryi i grzybów odjęło mu dziewięćdziesiąt dziewięć setnych jego siły. Tu i owdzie napotykałem ślady zajmowania się małego ludu zbiorami: rzadkie skamieniałości na kawałki potłuczone, lub ponawlekane na trzcinki, jakby paciorki. Niektóre pudełka były zupełnie poodpróżniane — jak sądzę, przez Morloków.

Panowała wielka cisza. Gruby pył głużył nasze kroki. Uina, która toczyła morskiego jeża po pochyłym szkle gablotki, naraz podeszła ku mnie, gdy się rozglądałem dookoła, najspokojniej wzięła mnie za rękę i odtąd już trzymała się mnie nieodstępnie.

Z początku byłem tak zdziwiony tym staro-dawnym pomnikiem wieku rozumu, że ani nawet pomyślałem o tem, co też znaleźć w nim mogę. Nawet myśl, która mnie głównie zajmowała, myśl o Machinie Czasu, ustąpiła nieco w głąb mego umysłu.

Sądząc z wielkości budynku, pałac z zielonej porcelany zawierał w sobie znacznie więcej zbiorów oprócz galeryi paleontologicznej; być może — galerye historyczne, a może nawet bibliotekę! Dla mnie, w dzisiejszych okolicznościach przynajmniej, byłoby to daleko ciekawszem, niż ten widok prastarych, rozkładających się już okazów geologii. Przy dalszem badaniu znalazłem inną, krótszą, galeryę, biegnącą poprzecznie do pierwszej. Ta widocznie była poświęcona mineralogii, a widok bryły siarki skierował moje myśli na proch. Lecz nie mogłem znaleźć saletry; zgoła nie było wcale azotanów: bezwątpienia, przed wiekami jeszcze spłukaniu zupełnemu uległy. Jednak siarka utkwiała mi w umyśle i wyźłobiła w nim nowy tor dla myśli. Niewiele mnie zajmowała pozostała część galeryi, jakkolwiek w ogóle była najlepiej zachowaną ze wszystkiego, com widział. Nie jestem specjalistą w mineralogii: przeszedłem więc do bardzo zrujnowanego skrzydła, równoległego do sali, do której byłem wszedł najpierwej. Widocznie ten oddział był poświęcony historii naturalnej, lecz z tego, co się tu znajdowało, oddawna już chyba nic zgoła nie dawało się rozpoznać. Niewiele pokurczonych i zczerniałych szczątków po wypchnych zwierzętach, pozyschane mumie w słojach, gdzie niegdyś był spirytus, bury proch ze zniszczonych roślin: oto wszystko! Smuciło mnie to, bo bardzo byłbym rad poznać te cierpliwe spo-

soby, jakimi utrwalano niegdyś (teraźniejszością była mi przyszłość daleka) kształty przyrody ożywionej.

Następnie doszliśmy do galeryi wręcz kolosalnych rozmiarów, lecz szczególnie źle oświetlonej, której podłoga spadała pochyło pod niewielkim kątem w stronę przeciwległą wejściu. W pewnych odstępach z sufitu zwieszały się białe banie, niektóre potłuczone lub rozbite; widać, że z początku ta sala była oświetlana sztucznie. Tu byłem już bardziej na swoim gruncie. Gdym przechodził, po obu stronach piętrzyły się olbrzymie masy wielkich machin; wszystkie były bardzo już zardzewiałe, niektóre pogruchotane, niektóre wszakże prawie jeszcze nietknięte. Jak wiecie, mam pewną słabość do wszelkich mechanizmów; brała mnie też chętka i wśród tych pozostać, tem więcej, że większość ich była dla mnie zagadką i mogłem tylko stawiać dalekie domysły o tem, do czego niegdyś służyły. Wyobrażałem sobie, że jeżeli się domyszę ich przeznaczenia, pozyskam zaraz siłę, której będę mógł użyć przeciwko Morłokom.

Nagle Uina przybiegła do mnie — tak nagle, że się aż przestraszył. Gdyby nie ona, nie byłbym chyba zauważył owego pochylenia podłogi galeryi *). Drugi kraniec sali, do któ-

*) Być może, że podłoga nie była pochylona, lecz samo muzeum było zbudowane na zboczu wzgórza. (Autor).

regošmy doszli, znajdował się prawie na samym poziomie i był oświetlony za pomocą rzadkich okien wązkich, podobnych do szpar w murze. Kiedy się już przeszło całą długość budynku, miało się przed sobą znowu wzniesienie gruntu, na które wychodziły okna. Przed każdym oknem była jama, podobna do tak zwanego «podwórza» londyńskiego; światło dostawało się do niej tylko przez wązki otwór u góry. Zwolna posuwałem się naprzód, dziwiąc się machinom. Byłem zanadto niemi zajęty, aby dostrzedz stopniowe zanikanie światła, — i dopiero wzrastający niepokój Uiny ocucił moją uwagę. Spostrzegłem wtedy, że galeryą w dole ogarnia już zupełna ciemność. Zawahałem się, a gdym się rozejrzał dookoła, zauważyłem, że na podłodze mniej było tu pyłu i powierzchnia jego nie była tak gładka i równa, jak tam, wyżej. Im dalej w głąb' ciemnej części sali, tem więcej drobnych śladów stóp; było ich nawet bardzo wiele. W tej chwili doznałem wrażenia bezpośredniej obecności Morloków. Czułem, że tracę tylko czas na to akademickie badanie machin. Przyszła rozwaga: godzina popołudniowa już późna, a ja dotąd nie mam ani broni, ani schronienia, ani żadnych środków do rozniecenia ognia. Następnie w głębokich mrokach galeryi usłyszałem szczególne dreptanie i takie same dziwne szmery, jakiem już raz słyshał podówczaś, w głębi studni.

Schwyciłem Uinę za rękę. Naraz błysnęła mi myśl nagła: puściłem rękę i poszedłem do maszyny, z której sterczał drążek, czy ramię, podobne do znajdujących się we zwrotnicach. Wdrapawszy się na podstawę i uchwyciwszy drążek oburącz, nacisnąłem go całym swym ciężarem. Nagle Uina, pozostawiona sama w środkowej części hali, zaczęła płakać. Udało mi się oćnić wytrzymałość drążka, od jednego rzutu oka, bo złamał się po naciśnięciu jednonominutowem, i do płaczącej pośpieszyłem już z maczugą w rękę, aż nadto wystarczającą na rozbicie łba każdemu Morlokowi, którego-bym napotkał. A gorąco już pragnąłem zabijać! Bezwątpienia myślicie sobie, że to bardzo nieludzko tak chcieć zgładzić jednego ze swoich własnych potomków; lecz ja wówczas w żaden sposób nie mogłem nic człowieczego odczuć w tych istotach. Tylko wzgląd na Uinę, której nie chciałem opuszczać, oraz przekonanie, że, jeżeli zechcę zaspokoić pragnienie mordy, to może na tem ucierpieć Machina Czasu, powstrzymały mnie od zapuszczenia się w głąb' galeryi dla zabijania tych bestyi, których głosy już mnie dochodziły.

A zatem, z maczugą w jednej ręce, drugą prowadząc Uinę, wyszedłem z tej galeryi do innej, jeszcze większej, która na pierwszy rzut oka przypomniała mi kaplicę wojenną, obwieszoną postrzępionemi sztandarami. Poznałem, że szare poszarpane łachmany, które zwieszały się z je-

dnej i z drugiej strony tej galeryi, były butwiejącymi szczątkami książek. Oddawna już to wszystkogniło, rozłaziło się, rozsypywało, i nie znać było już na tem żadnych śladów druku. Lecz tu i owdzie zachowane marginesy w obwódkach i popękane okucia metalowe dość wymownie opowiadały dzieje tego przybytku. Gdybym był literatem, może moralizowałbym na temat marności wszelkiej ambicyi; lecz w okolicznościach danych uderzyła mnie tylko, a uderzyła silnie, olbrzymia strata pracy, o jakiej świadczyła ta ciemna otchłań butwiejącego papieru. Muszę przyznać, że w owym czasie myślałem głównie o *Philosophical Transactions* i o moich własnych siedemnastu pracach z optyki fizycznej.

Następnie po szerokich schodach weszliśmy do czegoś, co mogło być niegdyś galeryą chemii technicznej. Tutaj miałem niemałą nadzieję odkryć użytecznych. Z wyjątkiem miejsca, gdzie zapadł się był dach, galerya była dobrze zachowana. Chciwie przeglądałem każdą gablotkę nieuszkodzoną; wreszcie w jednej, hermetycznie zamkniętej, znalazłem pudełko zapalek. Skwapliwie potarłem jedną na próbę: były zupełnie dobre; nawet nie zwilgły. Zwróciłem się do Uiny, — Tańcz! — krzyknąłem w jej języku. Teraz bowiem miałem już broń przeciwko tym straszonym istotom, których oboje takeśmy się lękali! I w tem opuszczonem muzeum, na grubo wysięłającej je warstwie kurzu, ku wielkiemu za-

dowoleniu Uiny, uroczyście wykonałem coś w rodzaju tańca wielce złożonego, gwizdząc, o ile mogłem wesoło, *The Land of the leal*. Był tam i skromny kankan i taniec posuwisty i pląsy w szerokim stylu z przysiadaniem (o ile na to pozwalały moje poły), i wreszcie jakieś «*divertissement* tancerskie» zupełnie oryginalnego pomysłu — jak wiecie bowiem, jestem z natury wynalazczym.

Obecnie przychodzi mi do głowy myśl, że jak dla tego pudełka zapalek wymknięcie się od zagłady czasu w ciągu niepamiętnych lat było rzeczą w najwyższym stopniu zadziwiającą, tak dla mnie znowu stało się szczęściem niewymownem. Co więcej, prawdziwe już dziwo, znalazłem przedmiot daleko jeszcze osobliwszy, mianowicie—kamforę; znalazłem ją w słoiku zapieczętowanym, który wypadkowo, jak przypuszczam, był już rzeczywiście hermetycznie zamknięty. Z początku sądziłem, że to jest wosk parafinowy i rozbiłem szkło. Lecz zapach kamfory nie pozwalał się mylić. W ogólnem zniszczeniu udało się materji lotnej przetrwać może całe tysiące wieków. To przypomniało mi widziane niegdyś małowidło sepią z belemnitu kopalnego, który chyba przed milionem lat jeszcze zamrzeć musiał, aby się ostatecznie w skamieniałość kopalną zamienić. Już miałem kamforę porzucić, gdym sobie przypomniał, że jest to ciało łatwo zapalne i płonie dobrym, jasnym płomieniem, jest zatem

wyborną świecą, i włożyłem mą kamforę w kieszeń. Nieznajdowałem jednak materiałów wybuchowych, ani żadnych środków do wyłamania drzwi bronzowych. Dotychczas owo odłamane ramię stalowe było najużyteczniejszym przedmiotem, jaki znalazłem. Niemniej jednak opuściłem galeryę pokrzepiony na duchu.

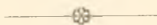
Nie zdołałem wam opowiedzieć wszystkiego, co mi się wydarzyło w ciągu tego długiego popołudnia. Potrzebowałyby dużego wysiłku pamięci, aby przypomnieć sobie w porządku to, co się widziało i przeżyło. Pamiętam długą galeryę zardzewiałej broni w rzędach; pamiętam jak wahałem się pomiędzy drażkiem, którym już miał, a siekierą lub mieczem. Nie mogłem jednak zabrać obojga, a mój drażek żelazny wydawał mi się najlepszym na owe drzwi z brązu. Była również w muzeum wielka liczba dział, pistoletów i strzelb. Większość pozamieniała się już w masę rdzy, lecz niektóre były z jakiegoś nowego metalu i wydawały dobry dźwięk. Natomiast naboje i proch, jakie mogły tu być niegdyś, dawno już obróciły się w pył. W jednym kącie leżały szczątki jakichś przedmiotów podruzgotanych: być może wskutek wybuchu w pośród nagromadzonych okazów. W innym miejscu stały rząd bożki: polinezyjskie, meksykańskie, greckie, fenickie — z każdego zakątka ziemi, o jakim tylko pomyśleć można. Tutaj, ulegając niepowstrzymanemu popędowi, podpisałem swe

nazwisko na nosie steatytowego potwora z Ameryki Południowej, który szczególnie mnie zajął.

Im bliższy był wieczór, tembardziej słabło moje zajęcie się zbiorami. Przechodziłem z jednych galeryj do drugich, zapyłonych, cichych, w części zrujnowanych. Okazy w nich były już tylko kupami rdzy i lignitu; rzadko napotykałem trochę świeższe. W jednym miejscu znalazłem się nagle około małego modelu kopalni i przez prosty przypadek dostrzegłem w hermeticznym zamkniętym pudełku dwa naboje dynamitowe! Wykrzyknąłem «Heureka!» i z radością rozbiłem pudełko. Potem dopiero przyszło powątpiewanie: zawahałem się. Wybrawszy następnie na doświadczenie niewielką galeryę boczną, zrobiłem próbę. Nigdy nie czułem podobnego rozczarowania jak wówczas, gdym pięć, dziesięć, piętnaście minut czekał na wybuch, który nie nadchodził. Z pewnością były to tylko modele. Jestem przekonany, że gdyby było inaczej, byłbym zniszczył i wysadził w sfery niebytu i Białego Sfinksa, i drzwi brązowe, i (jak się okazało) — moje jedyne widoki znalezienia Machiny Czasu.

Potem dopiero, jak sędzę, przeszliśmy na niewielkie podwórze wewnątrz pałacu. To podwórze było trawnikiem, a rosły na niem trzy drzewa owocowe. Odpoczęliśmy i pokrzepili się. Około zachodu słońca zacząłem się rozglądać w położeniu. Noc już nadciągała, a dotąd jeszcze pozostawało

stawało mi do znalezienia moje nieprzystępne schronienie; lecz to mnie mało teraz niepokoiło. Miałem w posiadaniu swem przedmiot, który był może najlepszą bronią przeciwko Morlokom — miałem zapałki! Miałem nadto w kieszeni kamforę, na wypadek gdybym potrzebował płomienia. Zdawało mi się, że będzie najlepiej przepędzić noc na otwartem powietrzu pod osłoną ognia. Zrana wyprawa po Maszynę Czasu. Jak dotychczas, na tę wyprawę miałem tylko stalową maczugę. Wiedza moja rosła: inaczej już zapatrywałem się teraz na owe drzwi z brązu. Dotychczas powstrzymywałem się od wyłamania ich głównie przez wzgląd na tajemnicze wnętrze. Drzwi te nie sprawiały wrażenia przeszkody bardzo silnej, i spodziewałem się, że mój drag żelazny zupełnie się nada do celu.



XII.

W ciemności.

Kiedyśmy wychodzili z pałacu, słońce było jeszcze nieco nad poziomem. Postanowiłem dojść do Białego Sfinksa nazajutrz wczesnym rankiem, a przed zmrokiem jeszcze chciałem się przedrzeć przez lasy, które mnie zatrzymały były dnia poprzedniego. Miałem postanowienie zająć jak można najdalej tej nocy, a roznieciwszy ogień, spać już pod jego osłoną. Dlatego też po drodze zbierałem wszelkiego rodzaju gałązki i suche trawy, i już miałem pełną naręcz tego paliwa. Przy takim obciążeniu posuwałem się wolniej, niż chciałem, a nadto Uina była zmęczoną. Ja również zaczynałem już cierpieć od braku snu; tak, iż doszliśmy do lasu dopiero w środku nocy. Na zboczu pagórka, pokrytego zaroślami, Uina chciała się zatrzymać, w obawie ciemności; lecz szczególne uczucie grożącego niebezpieczeństwa, które powinienem był uważać za znak ostrzega-

jący, pognało mnie naprzód. Przez całą jedną noc i dwa dni wcale nie spałem i byłem zgorączkowany, podniecony; opadała mnie coraz większa senność, a wraz z nią czułem i zbliżających się Morloków.

Gdyśmy się wahali: czyby istotnie już nie przystanąć? — na ciemnym tle krzaków za sobą ujrzałem trzy pełzające postaci. Byliśmy w gęstwinie leśnej, w wysokiej trawie, tak, iż nie czułem się zabezpieczonym od zdradzieckiego podejścia. Na oko, las nie miał nawet całej mili angielskiej wgłąb'. Gdybyśmy mogli dojść przez las do obnażonego boku pagórka, pozyskalibyśmy bezpieczne stanowisko; sądziłem, że zapalkami i kamforą będę mógł oświecać sobie drogę przez las. Oczywiście, chcąc korzystać z zapalek, musiałem wypuścić z rąk ów niesiony z sobą opał, i dosyć też niechętnie złożyłem go na ziemi. Wtedy przyszło mi do głowy, że jeżeli podpale chróst, wprawię w ogromne zdziwienie naszych nieprzyjaciół. Przekonałem się później, iż w tym zamysle było straszne szaleństwo; lecz na razie wydało mi się to znakomitą taktyką dla zasłonięcia odwrotu.

Nie wiem czy pomyśleliście kiedy, jak rzadką rzeczą jest płomień w klimacie umiarkowanym przy nieobecności człowieka. Ciepło słoneczne rzadko kiedy bywa tam tak silnem, aby mogło zapalić, nawet jeżeli jest zogniskowane przez krople rosy, co się niekiedy zdarza w oko-

cach podzwrotnikowych. Piorun może opalić i zwęglić, lecz rzadko kiedy wznieca pożar szerzący płomienie. Butwiejące rośliny niekiedy rozgrzewają się od ciepła fermentacyi, lecz również rzadko kiedy zajmują się płomieniem. A nadto w tej epoce upadku zapomniano już na ziemi sztuki rozniecania ognia. Czerwone języki, które zaczęły lizać naręcz mojego drzewa, były nowym przedmiotem podziwu dla Uiny.

Podbiegła do ognia, aby się nim ubawić. — Przypuszczam, że rzuciłaby się w ogień, gdybym jej nie powstrzymał. Lecz schwyciłem ją w pół i pomimo jej oporu śmiało zapuściłem się w las. Na niewielkiej przestrzeni blask płomienia oświecał drogę. Obejrzawszy się za siebie, zauważyłem wśród krzyżujących się konarów, że od mojego stosu płomień przeskoczył do krzaków przyległych i po trawie pagórka pełzała już węzowata linia płomienia. Uśmiechnąłem się i skierowałem ku gęstwinie leśnej, którą miałem przed sobą. Było bardzo ciemno. Uina przycisnęła się do mnie konwulsyjnie... W powietrzu cisza... Oczy moje przywykły były do ciemności: widziałem dość dobrze, aby omijać gałęzie. Nad głowami swemi mieliśmy zupełnie czarną ciemność z wyjątkiem rzadkich szczelin, przez które przeświecały plamy blado-błękitnego nieba. Nie zapalałem zapalek, bo nie miałem rąk wolnych. Na lewym ramieniu niosłem moją małą, w prawej ręce trzymałem drąg stalowy.

Przez pewien czas nie słyszałem nic, prócz chrzęstu gałęzi pod nogami, słabego szmeru wiatru nad głową, własnego swego oddechu i tętna arteryi w uszach. Później usłyszałem około siebie dreptanie. Rozzłoszczony, posuwałem się naprzód. Dreptanie stawało się coraz wyraźniejszym. Rozróżniałem już teraz te same dziwne dźwięki i głosy, którem słyszał już tam, w świetle podziemnym: widocznie, Morloki usiłują mnie osaczyć. Istotnie, naraz uczułem pociągnięcie za surdut, a później za rękę. Uina gwałtownie zadrzała; po chwili ucichła zupełnie.

Był czas zapalić zapalną; lecz dla wykonania tego musiałem ciężar mój złożyć na ziemi: złożyłem. a gdy szukałem w kieszeni, u kolan moich w ciemności zawiązała się walka przy zupełnym milczeniu Uiny i osobliwszem jakby gruchaniu Morloków. Miękkie, drobne ręce pełzały po moim tułowiu i grzbiecie i dotykały nawet szyi. Zapalną błysła z trzaskiem. Trzymałem ją w ręku: ujrzałem białe grzbiety Morloków uciekających pomiędzy drzewami. Czempredziej porwałem z kieszeni kawał kamfory, gotów go zapalić natychmiast, gdy już zapalną dopalać się będzie.

Spojrzałem na Uinę: leżała, uczepiwszy się nóg moich, bez ruchu, z twarzą zwróconą ku ziemi. W nagłym przestraszu pochyliłem się ku niej. Zdawało się, iż zaledwie oddycha. Zapaliłem kawał kamfory i cisnąłem go na ziemię, a gdy pękał i palił się już i odpędzał i Morloków

i cienie, ukląknęłam i podniosłam bezwładną. Las za mną był pełen szmeru i zgiełku licznego tłumu.

Uina była jakby zupełnie omdlała. Wziąłem ją łagodnie na plecy i podniosłem się, aby iść dalej. Wtedy poznałem prawdę straszliwą. Podczas manipulacji z zapałkami i Uiną, obracając się ciągle na wszystkie strony, utraciłem kierunek drogi i najmniejszego już nie miałem pojęcia, w którą iść stronę. Wiedziałem tylko to, że w tyle za sobą mam Pałac z zielonej porcelany. Zimny pot mnie oblewał. Musiałem prędko obmyślić co robić. Postanowiłem rozniecić ogień i obozować w tem miejscu, gdzieśmy przystanęli. Złożyłem na murawie Uinę, wciąż jeszcze jakby martwą, pośpiesznie, gdyż szybko zniknął pierwszy kawałek kamfory, zacząłem zbierać gałęzie i suche liście;—tu i owdzie dokoła mnie świeciły oczy Morloków jak karbunkuły.

. Kamfora zasyczała i znikła. Potarłem zapałkę: spostrzegłem, że dwie białe postaci, które zbliżały się już do Uiny, szybko umykały. Jedną ogień tak oślepił, że pędziła prosto na mnie, i czułem jak jej kości zaskrzypiały pod uderzeniem mojego kułaka. Wydała jęk żałosny, zachwiała się i upadła. Zapaliłem drugi kawałek kamfory i zacząłem zbierać paliwo. Zauważyłem nadzwyczajną suchość gałęzi rosnących na wzgórzu: od czasu mego przyjazdu na Machinie Czasu, od tygodnia już, nie padał deszcz. Zamiast przeto zbierać pośród drzew gałęzie już opadłe, zaczą-

łem podskakiwać w górę i chwytac na dół konary jeszcze żywe na drzewach. Bardzo prędko roznieciłem dymiący ogień z zielonych gałązek i suchego chróstu, i mogłem sobie w ten sposób oszczędzić kamfory.

Wróciłem do Uiny: leżała koło mojej stalowej maczugi. Nie żałowałem wysiłków, aby ją ocucić, lecz leżała wciąż jak martwa. Nie mogłem nawet dla własnego spokoju przekonać się czy jeszcze oddycha.

Teraz dym szedł prosto na mnie. Pod działaniem jego ociążałem, zacząłem tracić siły. Nadmiar złego w powietrze było przesycone kamforą. Ognia nie potrzebowałem wcale zasilać przez jaką godzinę. Czułem się bardzo zmęczonym po trudach, i usiadłem. A las wciąż był pełen usypiającego szumu, którego nie rozumiałem. Wiedziałem tylko to, że mi głowa na ramiona opadła...

Otworzyłem oczy. Ciemność dookoła... Morloki wyciągają ręce, sięgają po mnie. Odtrącając ruchliwe ich palce, macałem po kieszeniach, szukałem zapalek: przepadły! Wtedy obskoczyli mnie po raz drugi. Odrazu zrozumiałem co się stało. Spałem; ogień mój zagasł.. i cała gorycz śmierci ogarnęła duszę. Las pełen był spalenizny z płonących drzew. Pochwycony za szyję, za włosy, za ręce, staczałem się w dół. Było to niesłychanie okropnem czuć na sobie w ciemności miękkie oślizgujące się dotknięcia tych istot. Czułem się jakby w ogromnej jakiejś

pajęczynie. Byłem zmożony: upadłem. Czułem drobne ząbki, kłające mnie w szyję. Wywróciłem się i w upadku ręka moja dotknęła stalowego drąga. To dodało mi siły. Podjąłem walkę na nowo: strącałem z siebie te ludzkie szczury i, silnie ująwszy żelazo, waliłem tam, gdzie mi się zdawało, że mogą być ich łby. Czułem jak ciała i kości pod ciosami moimi ustępowały. W ciągu minuty byłem już wyswobodzony.

Opanowało mnie to dziwne podniecenie, jakie często towarzyszy zaciętej bitwie. Wiedziałem, że oboje z Uiną jesteśmy zgubieni, lecz powiedziałem sobie, że Morloki muszą drogo zapłacić za to mięso, które spożywali. Oparłem się o drzewo i wywijałem przed sobą stalowym drągiem. Cały las był pełen ich szmerów i krzyków. Upłynęła minuta. Z głosów Morloków wnosiłem, że muszą być w najwyższym stopniu rozżarci; ruchy ich stały się szybszemi. Naraz nie było już żadnego wkoła mnie na odległość ramienia. Stałem wpatrując się w mrok. Wróciła mi nadzieja. Czyżby się przestraszyli? W jednym momencie stała się rzecz dziwna. Ciemność widocznie ustępowała. Niejasno zacząłem rozróżniać około siebie Morloków — trzech podbiegło mi pod nogi — i z niewypowiedzianem zdziwieniem spostrzegłem, że i inni biegli, płynęli nieustannym potokiem, o ile rozpoznać mogłem, z tej części lasu, którą miałem już za sobą, w tę, która mnie jeszcze czekała. Plecy ich wydawały

się, nie białemi, lecz czerwonemi. Gdy tak stałem z otwartemi ustami, ujrzałem małą iskierkę czerwoną, jak przeleciała przez kawałek gwiaździstego nieba wśród gałęzi i znikła. I wtedy już zrozumiałem zapach palącego się drzewa, usypiający szmer, który teraz wzrastał w głośny gwar,—zrozumiałem czerwone światło i ucieczkę Morloków.

Odstąpiwszy od drzewa i spoglądając za siebie, ujrzałem płomień palącego się lasu za ciemnymi ścianami drzew najbliższych. Było to moje najpierwsze ognisko; teraz szło za mną. Jednocześnie obejrzałem się za Uiną: już jej nie było. Syczenie i trzask poza mną, pęknięcie z łoskotem każdego świeżo zapalającego się drzewa pozostawiały mi mało czasu do namysłu. A mój drąg stałowy wciąż jeszcze bił, uderzał. Puściłem się za Morlokami: była to nędzna rasa! Raz płomień przemknęły się tak szybko na prawo ode mnie, że już mnie oskrzydlały: musiałem rzucić się na lewo. Lecz w końcu wydostałem się na niewielką polanę leśną i w tej chwili jakiś Morlok, biegnąc na oślep, natknął się na mnie, odbił się i wpadł prosto w płomień.

Wówczas uderzył mnie widok jeszcze dziwszy, najstraszniejszy, jak sądzę, ze wszystkiego, co przeżyłem w tej przyszłej epoce świata. Cały przestwór od blasku ognia był jasny jak we dnie. Po środku wznosiła się wyżyna czy też pagórek, pokryty kolącym głogiem. Dalej ciągnęła się

odnoga płonącego lasu z wijącemi się z niej złotemi językami, okalająca przestrzeń jakby ognistym parkanem. Na pagórku stało ze trzydziestu czy czterdziestu Morloków, oślepych od światła i żaru, biegających tu owdzie, w oślepieniu wpadających na siebie. Z początku nie zda wałem sobie sprawy z ich ślepoty i w szale strachu wściekle waliłem w zbliżających się ku sobie, niejednego zabijając i kalecząc. Lecz gdym się przyjrzał ruchom jednego z nich, jak pełzał pod cierniami, gdym usłyszał ich jęki — byłem już pewny zupełnej ich bezradności i niedoli wobec ognia i na żadnego z nich już więcej ręki nie podniosłem.

Chwilami któryś z nich wpadał prosto na mnie, wzbudzając odrazę, która mię zmuszała do usuwania się na bok. Naraz płomienie przygasły, i zacząłem się już obawiać, żeby mnie te nędzne istoty nie dostrzegły. Już myślałem rozpocząć walkę, aby, zanim do niej przyjdzie, z osobna ich zabijać, lecz ogień znów zapłonął jasno, i powstrzymałem rękę. Chodziłem po pagórku, na którym się roili; wymijając ich jednak szukałem tylko jakiegokolwiek śladu Uiny: Uina znikła.

W końcu usiadłem na wierzchołków pagórka i zacząłem się przyglądać temu nie do uwierzenia dziwnemu tłumowi oślepych stworzeń, które roily się teraz w różnych kierunkach a wydawały dzikie głosy, ilekroć je ogień żarem

swym dotknął. Kłębiące się słupy dymu wzbiły się w niebo, a w rzadkich skrawkach czerwonego sklepienia niebios, dalekiego, jakby należało do innego świata, błyszcząły małe gwiazdki. Dwóch lub trzech Morloków wpadło na oślep na mnie; z dreszczem wstrętu odpędziłem ich kułakami.

Przez większą część tej nocy czułem jakby to, co się działo ze mną, było tylko nocną zmurą. W złości biłem samego siebie i krzyczałem namiętnie, pragnąc się obudzić. Waliłem pięściami w ziemię, podnosiłem się i siadałem, biegałem na wszystkie strony i znowu rzucałem się na ziemię. Padałem, trąc oczy i błagając Boga, aby mnie rozbudził. Po trzykroć widziałem Morloków, pochylających głowy jakby w agonii, i wpadających w ogień. Lecz w końcu ponad nieustającą czerwienią ognia, ponad płonącymi masami czarnego dymu, ponad bielejącymi i czerniejącymi pniami drzew, ponad zmniejszającą się wciąż liczbą tych ciemnych stworzeń — zabłysło białe światło dnia.

Znowu zacząłem szukać śladów Uiny, lecz by najmniejszego nawet już nie było. Jasnym się stało, iż biedne, drobne jej ciało pozostawili w lesie. Nie zdołam wam opisać, jaką mi sprawiła ulgę myśl, że uniknęła złowrogiego losu, jaki ją czekał. Myśląc o tym losie, poczułem znowu chęć mordowania tego wstrętnego a na zagładę już wydanego robactwa, które mnie opadło, lecz powstrzymałem się. Pagórek, jak

wspominałem, był rodzajem wyspy w lesie. Z wierzchołka jego zdołałem przez mgłę dymu dostrzedz Pałac z zielonej porcelany, a stamtąd już mogłem posłać wzrok w stronę Białego Sfinksa. Opuszczając niedobitki tych przeklętych istot, które błąkały się jeszcze tu i owdzie i wskutek wzmagającej się jasności dziennej ze strachu jęczały, owinałem sobie nogi trawą i przeskakiwałem przez dymiące zgliszcza i około czarnych pni, które jeszcze buchały ogniem z wnętrza,— zdążając tak do miejsca, w którym Morloki schowali byli Maszynę Czasu, — Posuwałem się zwolna, gdyż byłem śmiertelnie zmęczony: kulałem, czułem przytem wielką żalność z powodu okrutnej śmierci małej Uiny. Odczuwałem ją jak nieszczęście, które całego mnie przytłaczało.

Tu, w tym pokoju, do którego tak nawyknał, jest to dla mnie raczej smutkiem doznany w śnie, niż stratą rzeczywistą; lecz owego poranku zniknięcie Uiny absolutnie mnie osamotniło — czułem się straszliwie opuszczonym. Pomyślałem o swoim domu, o tem ognisku domowym, o niektórych z was, a wraz z temi myślami przyszła tęsknota, która była już bólem.

W tej wędrówce przez dymiące popioły, pod jasnym niebem poranku zrobiłem jedno odkrycie. W kieszeniach spodni znalazłem jeszcze kilka zapalek bez pudełka: musiało się popsuć, zanim je zgubiłem.

XIII.

Zasadzka w Białym Sfinksie.

Około ósmej lub dziewiątej zrana doszedłem do tej samej ławki z żółtego metalu, z której rozglądałem się był po świecie w wieczór mojego przybycia. Myślałem o pośpiesznych swoich wnioskach tego wieczora, i nie mogłem powstrzymać się od gorzkiego śmiechu ze swej łatwowierności.

Krajobraz był tak samo piękny, taka sama bujna roślinność, te same wspaniałe pałace i okazałe, dumnie piętrzące się ruiny, ta sama srebrna rzeka, płynąca wśród dwóch brzegów żyznych. Wśród drzew tu i owdzie migały mi przed oczyma wesołe szaty pięknego ludu. Niektórzy kąpali się w tem samym miejscu, gdzie uratowałem był Uinę, i nagle silny ból odezwał mi się w duszy. Jak plamy na krajobrazie wznosiły się kopyły nad wejściami do świata podziemnego: wiedziałem już teraz, co się ukrywa pod całym tem

pięknem świata oświecanego przez słońce. Ludzie pędzili dnie miłe bardzo, jak miłemi są dnie bydła w polu; jak bydłeta jnie mieli nieprzyjaciół i nie dbali o żadne potrzeby: lecz czekał ich też taki sam koniec, jak i bydłeta.

Gnębiła mnie myśl: jak krótkim był sen ludzkiego rozumu. A ten rozum dopuścił się na sobie samobójstwa! Dopóty ustawicznie dążył do wykwintu i wygody, biorąc za hasło społeczeństwo zrównoważone z zapewnionem bezpieczeństwem i trwałością, aż się nadzieje jego ziściły, ale tylko na to, aby w końcu ludzie mogli dojść do tego stanu! Musiał być moment, kiedy życie i własność osiągnęły bezpieczeństwo absolutne. Bogacz był spokojny o swe bogactwa i wygody, pracownik — o życie i zatrudnienie. Bezwątpienia, w tym świecie doskonałym nie było już sił niezużytych, nie było kwestyi społecznych nierozwiązanych. I oto nastąpił wielki spokój w ludzkości.

Jest to prawem przyrody, na które nie zwracamy uwagi, że sprężystość umysłu stanowi równoważnik niestałości niebezpieczeństwa i niepokoju. Zwierzę doskonale przystosowane do otoczenia jest też i doskonałym mechanizmem. Przyroda ucieka się do inteligencji dopiero wtedy, kiedy nawyk i instynkt już nie wystarczają. Nie ma inteligencji, gdy niema zmiany i potrzeby zmiany. Inteligencya bywa udziałem tylko ta-

kich zwierząt, które mają ogromną różnorodność potrzeb i niebezpieczeństw.

Jak już zauważyłem, człowiek podśloneczny doszedł do swej piękności wątlej purchawki, podziemny — do mechanicznej zmyślności. W tym doskonałym stanie brakło przecież jednej rzeczy do doskonałości nawet mechanicznej: brakło trwałości absolutnej. Widocznie, z biegiem czasu w owym świecie podziemnym środki do życia, skądkolwiek je brano, wyczerpały się. Matka Konieczność, która trzymała się na uboczu przez jakie kilka tysięcy lat, wtargnęła znowu i zaczęła działać od głębin. Świat podziemny, który był w ciągłej styczności z machinami, wymagającymi nawet w stanie doskonałym trochę myśli oprócz samego obycia się, prawdopodobnie zachował więcej przedsiębiorczości, jakkolwiek miał znowu mniej w sobie człowieczeństwa, niż świat na ziemi. I gdy zbrakło mu innego mięsa, zwrócił się do tego, którego zakazywał dawny obyczaj. To, mówię, widziałem w ostatnim spojrzeniu na świat z roku 802701. Wyjaśnienie takie może być złem, tak złem, jakby tylko na to dowcip śmiertelnych mógł się zdobyć; ale mnie tak się te rzeczy przedstawiały, i tak też je wam w tej chwili wykładam.

Po znojach, wruszeniach i okropnościach dni ubiegłych i pomimo całego zmartwienia, ta siedziba, ten widok spokojny, to nasze ciepłe światło słoneczne, prawdziwie mi się uśmiechały. Byłem

bardzo zmęczony i senny i wkrótce moje teoryzowanie przeszło w drzemkę. Schwytawszy się już raz na gorącym uczynku senności, poszedłem za jej popędem: położyłem się na murawie i zażyłem snu długiego i pokrzepiającego.

Przebudziłem się na krótko przed zachodem słońca. Czułem już teraz, że się nie dam pochwycić Morłokom we śnie: wstałem, przeciągnąłem się i skierowałem kroki ze wzgórza ku Białemu Sfinksowi. W jednej ręce miałem maczugę, drugą trzymałem na zapalkach w kieszeni.

Teraz spotkała mnie rzecz najmniej przewidziana. Gdym zbliżał się do piedestału sfinksa, dostrzegłem, że wejście do niego stoi otworem. Drzwi brązowe opuszczone były w dół.

Zatrzymałem się na chwilę, wahając się czy wejść do środka. Wewnątrz był niewielki pokój; w kącie, na wzniesieniu, stała moja Machina Czasu. Dźwignie miałem w kieszeni. I tak, po tych wszystkich moich planach oblegania Białego Sfinksa, z takim wysiłkiem obmyśliwanych, zaskoczyła mnie niespodzianie dobrowolna kapitulacja. Odrzuciłem od siebie ułamany kawał stali, żałując, że mi się już na nic nie przyda.

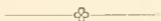
Przyszła mi do głowy nagła myśl, gdym się pochylił ku wejściu. Nareszcie pochwyciłem typ działalności umysłowej Morłoków. Powstrzymując śmiech radości, przez brązową ramę wszedłem do wnętrza i stanąłem przy Machinie Czasu. Z podziwem zobaczyłem, że była wy-

czyszczona i nasmarowana oliwą. Przypuszczałem przedtem, że Morloki rozebrali ją na części, starając się na chybił trafił poznać jej przeznaczenie. Gdym tak stał i przypatrywał się jej, czując przyjemność w samym już dotknięciu, stało się to złe, którem przewidywałem, ale w sposób nieprzewidziany. Bronzowe tablice raptownie zasunęły się i z łoskotem zamknęły wyjście z piedestału. Znalazłem się w ciemnościach — złapany w zasadzkę. Był to podstęp Morloków. Uśmiechnąłem się tylko wesoło. Posłyszałem ich szmery i śmiechy... już się do mnie zbliżali.

Z zupełnym spokojem spróbowałem zapalić zapałkę. Potrzebowałem tylko przymocować dźwignie, i mogłem już zniknąć jak duch. Lecz nie zwróciłem uwagi na jedno: zapałki były z tego obrzydliwego rodzaju, który się zapala tylko o pudełko. Możecie sobie wyobrazić jak prędko mój spokój prysnął. Małe bestye były tuż koło mnie; jeden już się mnie dotknął. Zacząłem machać dźwigniami na oślep i podczas tej operacyi włąziłem na siodło. Uczułem na sobie jedną rękę, potem drugą. Musiałem jednocześnie bronić dźwigni od ich uporczywych palców i zarazem namacać te miejsca, do których miałem dźwignie dopasować, — a one właśnie wymykały mi się z pod rąk; szukając ich wciąż, biłem głową w ciemności. Czuję, że uderzam o czaszki Morloków. Ostatnia ta już walka toczyła

się na mniejszej już odległości, niż owa bitwa w lesie.

Nareszcie przymocowałem dźwignie i wprawiłem maszynę w ruch. Ręce, które mnie chwyciły, nagle puściły. Ciemność opadła mi z oczu. Znalazłem się w tym samym szarem świetle i w tym samym zgiełku, które już raz opisałem.



XIV.

Dalsze widzenie.

Mówiłem wam już o niemocy i odurzeniu, jakie sprawia podróż w Czasie. A wracając, nie siedziałem nawet dobrze na siodle, lecz bokiem i w sposób niepewny. Przez czas, którego określić nie zdołałem, byłem jakby przykuty do maszyny, gdy ta podskakiwała i chyliła się w biegu; mało dbałem dokąd jadę, a gdy nareszcie wymogłem na sobie to, żeby spojrzeć na tarcze zegarowe, zdziwiłem się, jak-em już daleko zajechał. Jedna z tych tarcz pokazuje dnie, inna tysiące dni, inna miliony i wreszcie tysiące milionów. Teraz, zamiast puścić dźwignie w kierunku odwrotnym, posunąłem je naprzód, a gdym spojrział na wskazówki, zauważyłem, że ta, która pokazywała tysiące, biegnie w przyszłość tak szybko, jak wskazówka sekundowa w zegarku.

Gdy tak posuwałem się naprzód, szczególna zmiana zapanowała na powierzchni zjawisk. Fa-

lująca szarzyzna ściemniała; następnie, jakkolwiek ciągle podróżowałem z szaloną szybkością, migocąca zmiana dnia i nocy, która zwykle wskazuje szybkość mniejszą, powróciła i nabrała jeszcze wyrazistości. Z początku wprawilo mnie to w duży kłopot. Zmiany kolejne dnia i nocy odbywały się coraz - to powolniej, podobnie jak ruch słońca po sklepieniu niebios, aż wreszcie ciągnęły się jakby przez całe wieki. W końcu nad ziemią zapanował stały brzask, przerywany tylko niekiedy: wtedy, gdy zaświeciła na niebie kometę.—Pręga światła, która wskazywała ruch pozorny słońca, znikła już była dawno; słońce bowiem przestało zachodzić: podnosiło się tylko i opadało na zachodzie, a z każdym opadnięciem stawało się większem i czerwieńszem. Zniknął wszelki ślad księżyca. Bieg gwiazd, coraz - to powolniejszy, ustąpił pełzaniu świetlanych punktów.—Wreszcie, na chwilę przed zatrzymaniem się mojem, słońce, czerwone i ogromne, stanęło na poziomie bez ruchu, zdrewniałe, jak wielka kopuła, grzejąca tylko posępnym żarem, a chwilami nawet zupełnie już gasnąca. Zdarzało się, że na moment zabłysło świetnie, lecz potem znowu powracało szybko do ociężałej swej czerwoności. Z tego zaniku ruchów wschodu i zachodu wysnułem wniosek, że skończyła się już nazawsze praca obrotu dziennego. Ziemia przeszła do spokoju, zwróciwszy się jedną stroną ku słońcu, podobnie jak dziś zwrócony jest ku ziemi księżyc. Bardzo ostrożnie, pa-

miętny pierwszego swego wywrócenia się, zacząłem hamować ruch.—Wskazówki biegły z coraz-większą powolnością, aż wskazówka tysięcy stała się prawie nieruchomą, a dzienna przebiegała już teraz nie tak, jak pierwiej: w mgnieniu oka. Poruszałem się coraz-to wolniej i coraz bliżej ziemi, aż ujrzałem zarysy pustego wybrzeża.

Zatrzymałem się spokojnie, usiadłem na maszynie i rozejrzałem się dokoła. Niebo utraciło swój błękit. Północo-wschód był atramentowo czarny, a na tem czarnem tle świeciły jednostajne, martwo-blade, gwiazdy. Nad sobą miałem ciemną czerwoność indyjską bez gwiazd; na południo-wschodzie jaśniejszą od skrzącego się szkarłatu; przecięta przez poziom legła tam olbrzymia kula słońca, czerwona, nieruchoma. Skały około mnie miały kolor ciemno-czerwony, a jedynym śladem życia, jaki mogłem dostrzedz, była ciemna zieloność, która zajmowała wszystkie miejscowości wystawione na południo-wschód. Była to ta sama barwa posepna, jaką spostrzegamy na mchach leśnych, lub na porostach w grotach, na roślinach, jednym słowem, które rosną w stałym półcieniu.

Maszyna zatrzymała się na pochyłym brzegu. Morze rozciągało się na południo-zachód aż ku krańcom jaskrawo oświetlonej części widnokręgu pod bładem tam sklepieniem niebios. Nie było bałwanów, ani fal, bo nie powiewał już najlżejszy nawet wietrzyk. Słabe tylko, ociężałe tętno,

podobne do delikatnego oddechu, poruszało wody, świadcząc, że wieczyste morze jeszcze się porusza i żyje. Wzdłuż brzegu, podmywanego przez wodę, ciągnął się gruby wykwit soli — pod ciemnym niebem różowy. Czułem ucisk w głowie; zauważyłem, że oddycham bardzo szybko. Objaw ten przypomniał mi moją jedyną próbę wycieczki górskiej; wniosłem z niego, że powietrze było bardziej rozrzedzone niż obecnie.

Ponad pustym brzegiem usłyszałem rozdzierający krzyk i zobaczyłem coś podobnego do dużego motyla białego, jak krążyło po niebie i jak znikало potem za niewysokimi wzgórzami. Brzmienie głosu tego stworzenia było tak smutne, że mimowoli zadrżałem i chwyciłem się silniej maszyny. Rozglądając się wkoło, nieopodal zauważyłem, że to, com brał za czerwoną skałę, zbliża się zwolna ku mnie. Wtedy spostrzegłem, że to było potworne stworzenie, podobne do kraba. Czy wystawicie sobie kraba tej wielkości, co tamten stół, z wielką ilością nóg, poruszających się zwolna i niepewnie, z olbrzymimi kleszczami w ustawicznym ruchu, z długimi wąsami, podobnymi do biczów, drgającymi wciąż i macającymi i wreszcie z oczyma na słupkach, iskrzącymi się po obu stronach metalowego czoła? Grzbiet jego był pomarszczony i sfałdowany; a ornamentacją dawały mu nierówne garby, tu i owdzie upstrzone zielonawą inkrustacją. Widzia-

łem jak poruszały się podczas ruchu i dotykały ziemi macki jego, wielce w budowie swej złożonej, jamy ustnej. Tak wpatrzony w przerażające zjawisko, gdy posuwało się ku mnie, uczułem naraz swędzenie na policzku, jak gdyby usiadła na nim mucha. Odpędziłem natręta ruchem ręki, lecz po chwili natręt powrócił. i natychmiast uczułem inne znowu dotknięcie na uchu. Sięgnąłem ręką, i pochwyciłem coś podobnego do nitki, co szybko wyrwało mi się z dłoni. Odwróciłem się w strasznej udręczeniu i spostrzegłem, że pochwyciłem wąż innego znowu kraba kolosalnego, który był tuż za mną. Jego złe oczy poruszały się na pręcikach, paszcza otwierała się z apetytem, a podniesione w górę olbrzymie kleszcze, pokryte śluzem roślinnym, już mnie chwyciły. W jednej chwili miałem rękę na dźwigni i pomiędzy sobą i temi potworami postawiłem miesiące. Lecz znalazłem się znowu na tym samym brzegu i ujrzałem znowu te same kraby, jak tylko zatrzymałem się w biegu. Pełzały już teraz tuzinami całemi, w mrocznym świetle, po zielonych płachtach roślinności.

Nie zdołałem wam wyrazić uczucia tego ohydznego opuszczenia, jakie zawisło nad światem. Czerwone niebo na wschodzie, ciemność na północy, słone morze martwe, skalisty brzeg, rojący się od tych strasznych, wolno pełzających potworów, jednostajna, o wyglądzie trucizn, zieloność roślin, podobnych do porostów, rzadkie powietrze, które drażniło płuca: wszystko składało się na efekt

przerażający. Przesunąłem się o tysiąc lat, i ciągle jeszcze widziałem to samo czerwone słońce — trochę tylko większe, trochę ciemniejsze — to samo morze umierające, to samo powietrze chłodne, ten sam rój skorupiaków, pełzających wśród zielonego zielska i czerwonych skał. A na niebie zachodniem dostrzegałem łuk blady, podobny do nowiu.

Tak podróżowałem, zatrzymując się w wielkich odstępach czasu, w wielkich przeskokach po tysiąc lat i więcej, pchany naprzód żądzą zbadania tajemniczego losu ziemi, wpatrując się ze szczególnem oczarowaniem, jak słońce coraz większe i posępniejsze, na zachodzie rośnie,—jak na starej ziemi fala życia opada. Wreszcie, w więcej niż trzydzieści milionów lat od czasów dzisiejszych, ogromna, do czerwoności rozżarzona kopuła słońca zajmowała już blisko dziesiątą część nieba. Zatrzymałem się raz jeszcze, bo już znikła była rojąca się masa krabów, a czerwony brzeg wyglądał jakby zupełnie pozbawiony życia, z wyjątkiem blado-zielonych mchów i porostów. Teraz były na nim tylko białe plamy. Przejęło mnie ostre zimno. Rzadkie zrazu płatki białe spadały wciąż na ziemię. Na północo-wschodzie śniegi błyszcząły w świetle gwiazd pod ciemnem niebem, a falująca linia pagórków miała barwę różową. Z wybrzeża morskiego zwieszały się sople lodu; lecz główny obszar słonego, krwawo zabarwionego oceanu

w wiecznym zachodzie słońca był ciągle jeszcze wolny od lodu.

Patrzałem dokoła: czy nie pozostało śladów życia zwierzęcego — jakaś nieokreślona trwoga ciągle trzymała mnie na siodle maszyny — lecz na ziemi, na niebie i w morzu nie dostrzegalem nic, coby choć drgnęło. Tylko zielona opona skał świadczyła, że życie jeszcze nie wygasło. Płytką mielizna pokazała się na morzu, a woda cofnęła się od brzegu. Zdawało mi się, że widzę jakiś ciemny przedmiot pełzający po tej ławie; a gdym mu się tak przyglądał, przestał się poruszać. Myślałem, że oko moje się myli, a czarny przedmiot jest tylko skałą. Gwiazdy na niebie błyszczały bardzo silnie i zdawało się jakby zlekka na mnie mrugały.

Nagle zauważyłem, że kolisty zrab słońca uległ od zachodu zmianie — a na wypukłości wystąpiła wklęsłość, jakby zatoka, i w oczach moich rosła. Przez minutę wpatrywałem się w tę ciemność, która zachodziła na światło dzienne, i doszedłem do wniosku, że albo zaczynało się zaćmienie księżycy, albo też planeta Merkury przechodziła przez tarczę słońca. Z początku, naturalnie, wziąłem zasłaniające ciało za księżyc; lecz wiele powodów przemawia za tem, że zjawisko, na które patrzyłem, było przejściem jakiejś planety wewnętrznej, poruszającej się bardzo blisko ziemi.

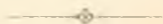
Ciemność wzmagała się szybko; zimny wiatr zaczął w surowych podmuchach wiać od wschodu

a białych płatków było coraz więcej w powietrzu. Od brzegów morza po przejściu słabej fali nadpłynął szmer. Pomijając to dźwięki, niedrgające już wcale życiem, zresztą świat było cichy. Cichy? Trudno byłoby oddać tę ciszę. Głosy ludzkie, ryk bydła, wrzaski ptaków, brzęczenie owadów, szmery, które tworzą tło naszego życia—wszystko to już dawno przeminęło. Teraz, gdy ciemności się zwiększyły, płatki wirujące zaczęły spadać w większej ilości, tańcząc mi przed oczyma, a zimne już powietrze oziębiło się jeszcze bardziej. Nareszcie białe szczyty dalekich wzgórz kolejno jeden po drugim znikły w mroku. Powiew od morza zamienił się na wyjący wichur. Widziałem jak czarny cień środkowy zaćmienia pędzi na mnie. W chwilę później patrzyłem już w blade gwiazdy, występujące z bezdennych mroków. Niebo było zupełnie czarne.

Zadrżałem z przerażenia na te wielkie ciemności. Ogarnęło mnie zimno przejmujące do szpiku kości. Oddychałem już z wielkim tylko trudem. Byłem cały w dreszczach; zjęły mnie jakby śmiertelne mdłości. Jak czerwony łuk na niebie pokazał się wreszcie brzeg słońca. Zszedłem z maszyny, aby odpocząć. Czułem zawrót głowy; byłem niezdolny do podróży z powrotem.

Gdym stał tak odurzony, zbity, dostrzegłem ruch na mieliźnie. Teraz już nie można było się pomylić: coś poruszało się wśród czerwonych wód morza. Była to masa okrągła, wiel-

kości może dużej piłki, nawet nieco większa; czułki zwisały potworowi na dół; barwę miał widocznie czarną, na krwistej wodzie, i chwilami się podrzucał. Czułem, że mdleję. Lecz straszna obawa na samą myśl, iż mogę leż bez pomocy w tym dalekim, złowrogim zmierzchu, dodała mi siły do wdrapania się na siodło.



XV.

Powrót Podróżnika w Czasie.

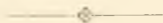
Tak powróciłem. Przez czas dłuższy na maszynie mojej musiałem siedzieć bez czucia. Znowu powróciło błyskające następstwo dni i nocy, znowu słońce przybrało barwę żółtą, a niebo — błękitną. Oddychałem z większą swobodą. Znamienne zarysy lądów podnosiły się i opadały. — Wskazówki poruszały się wstecz na tarczach. W końcu ujrzałem znowu owe mroczne cienie domów, znamiona ludzkości w upadku. I one uległy zmianom i przeszły, i nastąpiły po nich nowe. Gdy wskazówka milionowa stała na zerze, zwolniłem bieg. Zacząłem rozpoznawać nasz styl w budownictwie, drobny a swojski. Wskazówka tysięczna doszła do punktu wyjścia; dnie i noce zmieniały się coraz-to wolniej. W końcu wychyliły się stare mury laboratorium. Zwolna, całkiem wolno, zatrzymywałem mechanizm.

Zauważyłem jedną rzecz, która mi się wydała dziwną. Zdaje się, mówiłem wam, że gdym już w przyszłość jechał, ale zanim jeszcze ruch nabrał wielkiej bardzo szybkości, mrs. Watchett przeleciała przez pokój jak piłka. Gdym wracał, byłem znowu w tej chwili, kiedy przechodziła przez laboratorium; lecz teraz ruchy jej miały kierunek odwrotny. Drzwi otworzyły się spokojnie; wsunęła się do laboratorium, zwrócona plecami, i znikła w tych samych drzwiach, któremi weszła była poprzednio. Na chwilę przedtem zdawało mi się, że widzę Hiller'a; lecz przemknął mi się jak błyskawica.

Wówczas zatrzymałem machinę i spostrzegłem dawne, ukochane swoje laboratorium, narzędzia, sprzęty — wszystko tak, jak zostawiłem. Chwiejąc się, zeszedłem z machiny i usiadłem na kanapce. Przez kilka minut drżałem gwałtownie.

Przyszło wreszcie uspokojenie. Dokoła mnie była znowu moja stara pracownia, tak jak dawniej. Mógłbym być przespać cały ten czas, i cała moja podróż byłaby tylko marzeniem. A jednakowoż — nie! Przyrząd przesunął się z południowo-wschodniego kąta laboratorium i przeszedł na północo-zachód, do tej ściany, przy której go widzicie teraz. To wam daje dokładną odległość od owej murawy do piedestału Białego Sfinksa, w którym schowali machinę moją Morłoki.

Z początku czułem odrętwienie umysłu. Wszedłem przez kurytarz na górę, kulejąc, bo mię ciągle bolała pięta; czułem, że jestem straszliwie brudny. Widziałem *Pall Mall Gazette* na stole przy drzwiach. Spostrzegłem istotnie datę dzisiejszą, a spojrzawszy na regulatora, zobaczyłem godzinę ósmą. Słyszałem wasze głosy i stuk talerzy. Zawahałem się: czułem się tak zbolałym i słabym! Później doleciał mnie nęcący zapach mięsa. Otworzyłem drzwi do was. Resztę już wiecie. Umyłem się, dokończyłem obiadu, i teraz oto opowiadam wam moje dzieje.



XVI.

Po opowiadaniu.

— Wiem — rzekł po pewnej przerw, że to wszystko wyda się wam zupełnie niepodobnem do wiary; lecz w istocie jedyną tu rzeczą nie do uwierzenia jest to, że dzisiejszego wieczora znajduję się w tym oto dawnym pokoju, tak mi ulubionym, że patrzę na wasze przyjacielskie twarze i opowiadam wam te dziwne przygody.

Spojrzał na Lekarza.

— Nie. — Nie oczekuję od was tego, żebyście uwierzyli. Bierzcie to jako zmyślenie, jako widzenie przyszłości. Przypuśćcie, że drzemałem w pracowni; przypuśćcie, że dopóty rozmyślałem nad przeznaczeniem naszej rasy, dopóki w końcu nie spłodziłem tej fikcyi. Moje twierdzenie, że jest ona prawdą, możecie wziąć za podstęp artystyczny dla spotęgowania wrażeń. Przyjmując zaś moją podróż za zmyślenie, co sądzicie o niej?

Wziął fajkę i zaczął swoim zwyczajem uderzać nią nerwowo o pręty żelaznego kosza w kominku. Nastąpiła chwilowa cisza. Zatrzeszczały krzesła, kamasze suwały się po dywanie. Odwróciłem wzrok od twarzy Podróżnika w Czasie i spojrzałem po jego słuchaczach. Wszystkie twarze tonały w ciemności, przed każdą tylko błyszczał jakiś maleńki punkt barwny. Lekarz wyglądał tak, jakby się wpatrywał w naszego gospodarza. Wydawca patrzył na koniec swego cygara, szóstego z rzędu. Dziennikarz obracał w ręku zegarek. Inni, o ile pamiętam, siedzieli nieruchomo.

Wydawca wstał z westchnieniem. — Co za szkoda, że nie jesteś pan powieściopisarzem! — rzekł, kładąc rękę na ramieniu Podróżnika w Czasie.

— Czy pan nie wierzysz?

— Najzupełniej...

— Nie sędzę.

Podróżnik w Czasie zwrócił się do nas.

— Gdzie są zapalaki? — spytał — zapalił i mówił nad tajką, pykając:

— Prawdę rzekłszy, ja sam ledwo w to wierzę... A zresztą...

Wśród milczenia badawczy jego wzrok padł na zwiedłe białe kwiaty na stoliku. Następnie odwrócił rękę, którą trzymał był fajkę, podniósł pod wzrok i, jak zauważyłem, przyglądał się ledwo zagojonym bliznom na stawach palców.

Lekarz wstał, podszedł do lampy i przypatrywał się kwiatom.

— Słupkowie nieparzyste — powiedział.

Psycholog pochylił się, aby zobaczyć zblizka, i wyciągnął rękę po kwiatek.

— Niech mnie powiesz, jeżeli nie jest już kwadrans na pierwszą! — krzyknął Dziennikarz. — Jak dostaniemy się do domu?

— Mnóstwo dorożek na stacyi — rzekł Psycholog.

— Ciekawa rzecz — mówił Lekarz — nie wiem napewno, do którego rzędu należą te kwiaty. — Czy mogę je wziąć?

Podróżnik zawahał się, a później nagle rzekł:

— Ależ nie.

— Skąd naprawdę je masz? — zapytał Lekarz.

Podróżnik po Krainie Czasu przyłożył rękę do głowy i mówił jak ktoś, co się stara zatrzymać myśl uciekającą.

— Włożyła mi je do kieszeni Uina, kiedy podróżowałem w Czasie. — Rozejrzał się po pokoju. — Niech mię dyabli porwą, jeżeli to wszystko było! Ten pokój, wy i atmosfera życia codziennego: to zawiele dla mojej pamięci. Czy w samej rzeczy kiedykolwiek zbudowałem Machine Czasu, lub choćby tylko jej model? A może to wszystko sen? Mówią, że życie jest snem, cennym snem niekiedy; ale tu innego stanowiska za-

jąć niepodobna. Toszaleństwo.— A skąd przychodzą sny? Muszę spojrzeć na machinę, jeżeli jeszcze jest.

Szybko pochwycił lampę i poniósł ją przez drzwi na kurytarz, rzucając światło przed siebie. Poszliśmy za nim. — Na kurytarzu, w drżącym świetle lampy, stała machina — z pewnością ona, — przyrząd ciężki, duży i osobliwszych kształtów, zrobiony z brązu, hebanu, kości słoniowej i przezroczystego kwarcu. Czułem w doknięciu, że był mocno zbudowany: ręką próbowałem prętów; na kości słoniowej miał ciemne plamy i zanieczyszczenia, a na niższych częściach kawałki trawy i mchu, jeden zaś pręt był zgięty ukośnie.

Podróżnik w Czasie postawił lampę na ławce i jedną rękę przesunął po uszkodzonym pręcie.— Tak jest w istocie — rzekł — opowiadanie, któreście słyszeli, jest prawdziwem. Żałuję, że nie was wprowadził tutaj, na to zimno.

Wziął lampę, i w zupełnem milczeniu powróciliśmy do fajczarni.

Wszedł z nami do sali i pomagał Wydawcy włożyć palto. Lekarz spojrział mu w twarz i po pewnem wahaniu się powiedział, że musi być chorym wskutek przepracowania się. On zaś w odpowiedzi na cały głos się roześmiał. Pamiętam, jak stojąc w otwartych drzwiach, krzyknął: — «Dobranoc».

Wsiadłem do jednej dorożki z Wydawcą. Towarzysz mój mniemał, że całe opowiadanie

jest tylko wspaniałem łągarstwem. Ja zaś nie wiedziałem zgoła co mam sądzić..... Przygody były tak fantastyczne i nieprawdopodobne, a opowiadanie ich tak proste i wzbudzające ufność! Oka w nocy nie zmrużyłem, myśląc wciąż o niem. Postanowiłem przyjść nazajutrz i zobaczyć się znowu z Podróżnikiem. Powiedziano mi, że jest w laboratorium, a ponieważ byłem tam jak u siebie, udałem się więc wprost do niego. Ale laboratorium było puste. Czas jakiś przyglądałem się Machinie Czasu, sięgnąłem ręką i dotknąłem dźwigni. W tej chwili potężna, ociężała wyglądająca machina podskoczyła jak gałąź wstrząśnięta wiatrem. Ogromnie mnie zdziwiła jej niestateczność, i przypomniałem sobie naraz dni dzieciństwa, kiedy mi zabraniano ruszać wielu rzeczy. Wróciłem na kurytarz. Podróżnik po Krainie Czasu spotkał mię w fajczarni. Wracał ze swego pokoju. Pod pachą jednej ręki miał niewielki aparat fotograficzny, w drugiej trzymał tłumoczek. Uśmiechnął się, gdy mnie ujrzał, i podał mi łokieć zamiast ręki.

— Jestem strasznie zajęty całą tą sprawą— rzekł.

— Alboż to nie mistyfikacja?—zapytałem.— Czyżbyś rzeczywiście podróżował po Czasie?

— Podróżuję rzeczywiście i naprawdę.

I spojrział mi w oczy otwarcie. Zawahał się. Wzrok jego obiegał pokój wokoło.

— Potrzeba mi tylko pół godziny — powiedział. — Wiem, po coś przyszedł, i bardzo to dobrze z twojej strony. Oto kilka miesięczników. Jeżeli zostaniesz na śniadanie, dam ci dowody tej podróży w postaci prób, okazów — wszystkiego, co zechcesz. Wybaczysz mi, że cię teraz samego zostawię?

Przystałem, niezupełnie pojmując znaczenie jego słów, a on skinął tylko głową i wyszedł na kurytarz.

Słyszałem jak zatrzasnął drzwi laboratorium; rozsiadłem się w fotelu i wziąłem do rąk gazetę.

— O czym on jeszcze myśli przed śniadaniem?

Nagle przypomniało mi się, że obiecałem o drugiej spotkać się z wydawcą, Richardsonem. Spojrzałem na zegarek: zauważyłem, że ledwie zdążę, aby się stawić na czas. Wstałem i pobiegłem na kurytarz, aby powiedzieć o tem Podróżnikowi. Gdym ruszał za kłamkę, usłyszałem okrzyk dziwnie urwany, usłyszałem szczęk i łoskot. Gdym otworzył drzwi, owionął mię powiew wiatru i usłyszałem brzęk szkła spadającego na podłogę. Podróżnika nie było. Przez chwilę widziałem tylko mglistą jakąś, niewyraźną postać... Siedziała wśród wirującej masy, ciemnej, a błyszczącej jak metal. Postać ta była tak przejrzystą, że można było widzieć po przez nią ławkę z arkuszami rysunków. Lecz widzenie to

znikło, gdy przetarłem oczy: Machiny Czasu już nie było. W głębi laboratorium pusto; pozostał tylko tuman kurzu. Szyba w oknie widocznie tylko co rozbita.

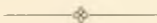
Uczułem podziw niedający się ująć rozumem. Wiedziałem, że stało się coś niezwykłego, przez chwilę jednak nie mogłem pojąć — co? Gdy tak stałem, patrząc, otworzyły się drzwi do ogrodu i ukazał się w nich służący.

Spojrzeliliśmy po sobie. — Po chwili dopiero obu nam zaczęły napływać myśli do głów.

— Pan wyszedł tędy? — zapytałem.

— Nie, panie. — Nikt tędy nie wychodził. Myślałem, że go tu zastanę.

Wówczas zrozumiałem. Stałem tak, narażając się na niechęć Richardsona, w oczekiwaniu na Podróżnika w Czasie, na nowe opowiadanie, być może jeszcze dziwniejsze, na okazy i fotografie, jakie miał z sobą przywieźć. Lecz dziś już zaczynam się obawiać: czy nie musiałbym tak czekać całe życie? Podróżnik po Krainie Czasu zniknął przed trzema laty i, jak teraz wszyscy już wiemy, dotychczas jeszcze nie powrócił.



Epilog.

Nam pozostaje tylko się dziwić. Czy człowiek ten kiedykolwiek powróci? Być może, iż przetrząsnął się w Przeszłość i wpadł pomiędzy krwiożerczych, włosem porośniętych dzikich z Epoki Niegładzonego Kamienia; może się dostał w otchłanie morza Epoki Kredowej, lub znalazł wśród dziwacznych gadów, olbrzymich bestyi ziemnowodnych z Epoki Jurajskiej. Być może, iż teraz — jeżeli tak można powiedzieć — przechadza się po oolitycznej rafie koralowej, nawiedzanej przez plesiosaury, lub nad samotnymi słoniami morzami Wieku Tryasowego... A może też rzucił się naprzód, w jeden z wieków najbliższych, w których ludzie będą jeszcze ludźmi, lecz zagadnienia naszych czasów będą już rozwiązane, a na dręczące nas pytania znajdą się odpowiedzi... Może dosięgnął Epoki męstwa rasy ludzkiej, ja bowiem przynajmniej tak sędzę, że niepodobna przypuścić, aby doba ostatnia: słabych doświad-

czeń, ułamkowych teorii i wzajemnego rozdźwięku była istotnie punktem kulminacyjnym człowieka.

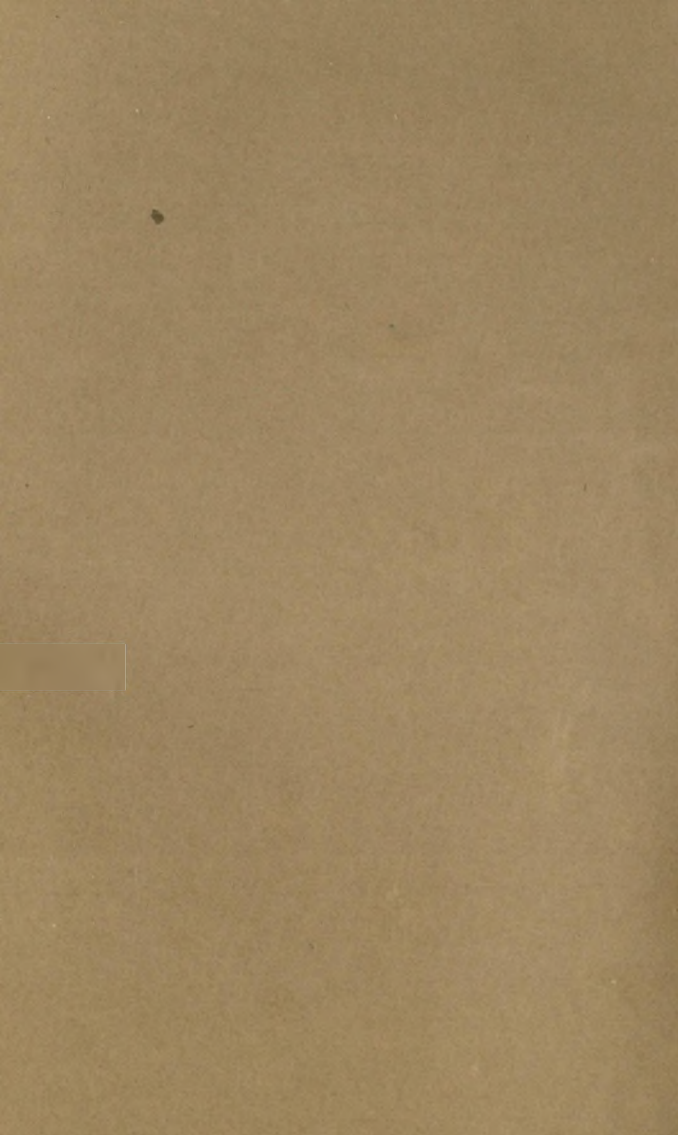
Tak ja przynajmniej sędzę. On, o ile wiem — rozprawialiśmy nad tem na długo przed wykończeniem *Machiny Czasu* — czynił mniej wesołe przypuszczenia o postępie ludzkości, i w piętrzącym się stosie cywilizacyi widział tylko bezładną zbieraninę, która musi kiedyś runąć, aby zmiażdżyć tych, którzy ją wznosili. Jeżeli tak jest istotnie, to powinniśmy właśnie tak żyć, jakgdyby było inaczej. Dla mnie przyszłość jest jeszcze czarną i pustą, jest jedną wielką niewiedzą, na którą miejscami tylko rzucać może światło pamięć dziejów jej stawania się. Mnie na pociechę pozostały dwa te dziwne kwiaty białe — zeschłe już, zczerniałe, zmiętoszone i rozsypujące się w proch: i one - to świadczyć będą, że nawet wtedy, kiedy znikły już rozum i siła, wdzięczność i tkliwość wzajemna żyły wciąż jeszcze w sercu człowieka.

K O N I E C.



SPIS RZECZY.

	<i>Str.</i>
I. Wstęp	1
II. Machina	11
III. Podróżnik po Krainie Czasu wraca	18
VI. Podróż w Czasie	28
V. W złotym wieku	38
VI. Zmrok Ludzkości	46
VII. Nagły cios	57
VIII. Wyjaśnienie.	69
IX. Morloki	88
X. Za nadejściem nocy	98
XI. Pałac z zielonej porcelany	110
XII. W ciemności	122
XIII. Zasadzka w Białym Sfinksie	135
XIV. Dalsze widzenie	139
XV. Powrót Podróżnika w Czasie	148
XVI. Po opowiadaniu	151
Epilog	158



WYŻSZA SZKOŁA
PEDAGOGICZNA W KIELCACH
BIBLIOTEKA
176934

Biblioteka WSP Kielce



0118046